

DUŻYFORMAT



Marcin Wójcik spytał osoby duchowne

CO KTO MOŻE NA WAKACJACH

ILUSTRACJA BARBARA NIEWIADOMSKA

Chcieli ojca zabić
czy nastraszyć?

Dom w ślepej uliczce

PAWEŁ PIOTR RESZKA

– To mnie napędza, to mnie pcha do przodu, o tym myślę, jak się budzę, zanim usnę, cały czas. Zrobiłem szkołę stolarską w Rawiczu i bez przerwy pracuję. Siedziałem tam najdłużej, miałem P1, tylko w celi, teraz jestem w Poznaniu, mam P2, jest lżej, mogę chodzić po oddziale. Przez dwadzieścia lat dostałem jeden wniosek o ukaranie. Ćwiczyłem na celi, akurat nie było można, z oddziałowym miałem wymianę zdań, ale jak na tyle lat to chyba niewiele, więc tak, oczywiście, jestem zresocjalizowany.

Więc kiedy stąd wyjdę, będę żył normalnie, a przede wszystkim z moją rodziną, oni na mnie czekają, zawsze będziemy blisko, ze sobą. I to mi daje siłę. Zaraz firmę założę, meble będę robił, do kuchni, do łazienki, jakie kto chce, szafy Komandor też. Tymczasem muszę kończyć, na korytarzu są tylko cztery telefony, kolejkę mam za sobą.

Paweł odsiaduje wyrok za zabójstwo. Wspólnie z bratem i siostrą mieli wynająć ludzi, którzy pobili na śmierć ich ojca. Zabójcy dostali za to telefon komórkowy Nokia, buty i dresy Nike, chcieli jeszcze więcej Philipsa, ale nie zdążyli jej zabrać, zatrzymała ich policja.

Matka Pawła niedawno wynajęła adwokatkę, ta napisała w jego imieniu prośbę do prezydenta RP, Paweł chce dziś laski.

PYTANIE

Po karetkę zadzwoniła Anna, najmłodsza z rodzeństwa, wtedy szesnaście lat. Była noc z 5 na 6 kwietnia 2002 roku. Ojciec leży pod schodami w domu, nie daje znaków życia, może spadł, powiedziała, tak go znaleźliśmy, gdy wróciliśmy, dodała.

Ślepa uliczka w południowej części Żar, za torami kolejowymi, prosty dom z jednym piętrem i płaskim dachem. Eugeniusz leżał na parterze, miał rozbitą głowę, wokół, na linoleum, wielka plama krwi. Nie żył już, gdy na miejsce przyjechał lekarz.

Przychodzi do nich w snach, chcą wtedy krzyczeć, uciekać, ale nie ma gdzie, bo on kolejnej nocy wróci i tak. Tata, który chciał tylko dobrze wychować dzieci

W domu była Anna, Paweł, jej starszy brat, wtedy osiemnaście lat, i Daniel, młodszy od niego o rok.

Policja bardzo szybko pochwalila się rozwiązaniem sprawy, informowała o tym media, te pisały: matka wyjechała za granicę, do pracy, ojciec został z dziećmi sam, okazał się niedobry, bo domagał się, by dzieci pomagały w domu, odrabiały lekcje, chodziły do szkoły, nie pozwalał używać brzydkich wyrazów, gdy wagarowały, wracały późno do domu, potrafił krzyknąć, a nawet podnieść rękę, uważał, że dyscyplina pomoże. Surowy ojciec i dzieci, które chciały robić, co chcą. Wszystko zostało precyzyjnie zaplanowane, ustalili policjanci z Żar. Dzieci znalazły zabójców, dały im zlecenie. Każde z rodzeństwa miało swój udział w zbrodni. Największy Anna, najmłodsza. „To ona od początku do końca opracowała morderczy plan” – tłumaczył nadkomisarz Zenon Niżyński, wówczas rzecznik prasowy Komendy Powiatowej Policji w Żarach. Prawomocny wyrok zapadł w czerwcu 2005 roku.

Kary więzienia:
– dla trzech mężczyzn, którzy mieli przyjąć zlecenie – 25 lat.

Oraz:

- dla Pawła – 25 lat,
- dla Daniela – 10 lat,
- dla Anny – 15 lat.

Im bliżej do wyjścia, tym częściej do Pawła wraca pewna myśl. Jedzie na grób ojca, kładzie kwiaty, pali znicz. – Powiem mu jeszcze: przepraszam. Za to, że to wszystko się wydarzyło, że nie żyje. Staram się to sobie jakoś ułożyć w głowie. Gdybym mógł, zadałbym mu jeszcze jedno pytanie.

SNY

Pracowała w Polmozbycie w Żarach, na dziale sprzedaży ogumienia, szła akurat do pracy, gdy obok swojej wywrotką przejechał on. Właśnie było po deszczu, ochlapał ją od stóp do głów. Jej dyrektor zadzwonił do jego dyrektora, bo akurat znalazł się z kierownictwem Transbudu, ustalili kierowcę i ten wkrótce przyszedł ją przeprosić z kwiatami. Tak Teresa poznała Eugeniusza, potem umówili się na kawę i jakoś szybko poszło. Miała nieco ponad 20 lat, on niewiele więcej. Dziś już nie pamięta, czym dokładnie ją ujął, być może było to jego trudne dzieciństwo. Wiele o tym opowiadał. O tym, że jego ojciec, gdy wypił, podnosił rękę na matkę, zdarzało się to często, Eugeniusz, gdy dorósł, stawał w jej obronie. Matka uciekała z domu, zawsze wracała, aż do dnia, gdy poprosiła syna, by zawiózł ją do jej rodziny, do innego miasta. I już tam została. Eugeniusz do końca miał z matką świetny kontakt, z ojcem chłodny.

– Uważałam – mówi Teresa – że ktoś, kto tyle przeżył, sam będzie dobrym ojcem, imponowało mi, że był taki opiekuńczy dla swojej matki, pokochałam go.

Po ślubie przez chwilę mieszkali u teścia, a potem przenieśli się do domu, który ona przy pomocy swoje-

go ojca, spawacza, budowała w ślepej uliczce osiedla za torami. Dzięki Eugeniuszowi i wywrotce prace mocno przyspieszyły i parter był szybko gotowy, choć resztę wykańczali jeszcze kilka lat.

Imiona dla dzieci zawsze wybierał on, bardzo cieszył się, że zostanie ojcem. Pierwsza była Agnieszka, pięć lat potem Paweł (tuż przed porodem przez kilka dni Eugeniusz wracał do domu wypity, świętował syna), potem w odstęпах rocznych urodzili się Daniel i Ania. Z młodszych dzieci Eugeniusz cieszył się jakby mniej, pracował już wtedy w PKS i coraz częściej przychodził do domu napity, miał nowych kumpli, oni go zajmowali, rodzina zeszła na drugi plan, uważa Teresa.

Niedawno znów wrócili do niej te sny. On jest w nich zawsze. Ostatnio śnił jej się taki: przyjeżdża do niej autem, pyta, jak sobie dziś radzi, ona, że dobrze, spokój ma. A on ze strasznym krzykiem: „Czekaj! Ja ci zaraz dam spokój, takiego kopa dostaniesz, że popamiętasz!” podbiega i Teresa przysięga, że poczuła, jakby jej naprawdę przywalił. – Podskoczyłam na tym łóżku chyba na pół metra w górę.

WSTYD

Jest też w snach Agnieszki, najstarszej córki. Zaraz po tym, co się stało, przychodził do niej prawie każdej nocy, patrzył tak dziwnie, za nim jakieś postacie, jęki, może po śmierci drogi nie mógł znaleźć. A ostatnio jest inaczej, jakby lepiej, życzliwie, niedawno śniło jej się, że ją przytula, jak ojciec córkę.

Tak naprawdę przez całe życie nie przytulił jej nigdy, nie powiedział nic dobrego, nigdy nie był ojcem.

Agnieszka uciekła pierwsza. Tamtego dnia poczuła, że już po prostu nie da więcej rady. Było lato, akurat w domu była tylko ona i on. Słyszała wyraźnie jego podniesiony głos, ciąg wyzwiisk skierowanych do niej: „ty kurwo”, „ty szmato”. Trwał i trwał.

Wtedy podjęła decyzję, że wyjeżdża. Dawna sąsiadka pracowała we Włoszech, kilka tygodni później Agnieszka była już u niej. Miała dziewiętnaście lat, zaczęła nowe życie. Sąsiadka zalaowała jej pracę, opiekę nad starszymi ludźmi, był 2000 rok.

Próbowała się odciąć, ale nie dało się tego wymazać czy zapomnieć. Trudno się żyje z czymś takim, trudno budować związek, założyć rodzinę, bo gdy tylko Agnieszka zbliży się do kogoś, poczuje się bezpiecznie, coś w niej krzyczy: uważaj! I wtedy się schładza, chowa uczucia. Związek gaśnie, a potem umiera.

Lata mijają, a to wszystko w jej głowie żywe i kolorowe, jakby wydarzyło się wczoraj.

Choćby ta sytuacja, gdy miała czterdzieści lat. Była zima, zjeżdżała z koleżanką na nartach z małej górki niedaleko domu, potem poszły do niej, na ganku spotkały jego, z nart sypał się śnieg. „Ty kurwo, ty suko!” – wrzeszczał, było jej strasznie wstyd.

Inny obraz z dzieciństwa, widzi matkę leącą przez przedpokój jak szmaciana lalka. Jego wyzwiiska i jej okrzyki bólu. Albo krew leżąca z jej głowy, gdy uderzył ją deską kuchenną, deska pękła. Dostała za to, że w lodówce nie było nic do jedzenia, gdy on wrócił z pracy, a miało zawsze być, jak nie masz za co kupić, mówił do żony, to idź pod latarnię.

Agnieszka była już wtedy nastolatką, zaprowadziła ją na górę, do pokoju, pomogła opatrzyć głowę.

Teresa pamięta, że pierwszy raz oberwała kablem od żelazka, dzieci były wtedy małe, a on chciał odpocząć po pracy. Potem jej to wszystko spowszedniało, wyrwane włosy, ciosy w twarz, kopniaki, uderzenia, tyle tego było. Na grillu za domem pociął ją nożem, do dziś ma bliznę na ramieniu, dostała też w udo. Chciała kiedyś to przerwać, zrobić obdukcję, zawiadomić kogoś. Ale okazało się, że za obdukcję trzeba zapłacić trzydzieści złotych, a ona ich akurat nie miała. Jak się wkurzył, to powtarzał, że gaz odkręci i wszystkich zabije, a jak ona pójdzie na tę policję, to i tak nic. Bo on przecież policjantów zna, bywa, że wódkę z nimi pije, i kto ci, głupia babo, uwierzysz?

On wtedy już był kierowcą w zakładzie pogrzebowym, największym w Żarach, jeździł białą furgonetką do różnych zdarzeń, samobójstwa, wypadki, widywał się z policjantami, trudno, by nie.

Z czasów szkoły Agnieszka pamięta głównie wstyd. Siedziała w klasie, w tej samej bluzie w różowe romby co zwykle, było cicho, a jej z głodu strasznie burczało w brzuchu, kulila się nad ławką, udawała skupioną, ale skupić się nie mogła. Ubrana byle jak, ze starym zeszytem, starym tornistrem, bez kredek, książek. Nie myślała o lekcji, tylko o tym, co znów dziś wydarzy się w domu, czy znów będą jego wrzaski, trzask drzwi, krzyk matki, była ciągle niewyspana, chciała zniknąć. Skończyła podstawówkę, próbowała uczyć się dalej, ale nie wyszło.

Raz w miesiącu robił większe zakupy dla rodziny, kupował wtedy worek ziemniaków, cebulę, marchew, cztery kilo cukru, herbatę, ryż, czasem jakiejś paszтетowej czy kaszanki. Mało jak na sześć osób. Teresa starała się dorobić.

– Trochę pracowałam w piekarni, sprzątałam u ludzi, brałam prace doraźne, z urzędu miasta, na przykład sprzątanie hali sportowej, chodziłam też do sadzenia lasu. Moja mama czasem mi też pomagała. Ale on pił coraz więcej i pieniędzy cały czas brakowało – mówi. – W końcu stwierdziłam, pojedę do starszej córki do Włoch, trochę zarobię, pozostałe dzieci były już duże, dadzą sobie przez chwilę radę beze mnie, myślałam. Bo jak można było tak dłużej żyć?

Wyjechała, dziś Teresa mieszka z Agnieszką. Czasem przyjeżdżają do Polski, pierwsza do synów, druga do braci.

KIJ

Daniel, młodszy z synów Eugeniusza, za wiele o swoich snach wolałby nie mówić, może tyle, że wciąż wraca w nich do domu w ślepej uliczce.

– Powtarzają się co kilka dni, on wtedy skacze, coś mówi, jakby się czegoś bał, jakby gdzieś uciekał – opowiada Monika, żona Daniela.

Daniel: – Te wszystkie sytuacje z ojcem mi się śnią, to, co było w domu.

Monika już się przyzwyczała, że Daniel jest chłodny, że nie można z nim za bardzo pogadać o uczuciach, o miłości, że nie potrafi obchodzić imiennin, urodzin, świąt, nie potrafi się z nich cieszyć, uważa je za niepotrzebne. Ona znalazła do niego swój klucz, on wciąż się boi. Odkłada decyzję o dziecku, dużo pracuje. Odsiedział z wyroku osiem lat, ma swoją firmę na północy Polski, hydraulika, sporo klientów, roboty nie brakuje, jest czym zająć dzień, ale on obawia się, że gdy urodzi się dziecko, nagle się zmieni i stanie się taki jak jego ojciec.

Na oszklonym ganku domu, obok szafki po prawej, stał drewniany kij.

– To był trzonek od łopaty – opowiada Daniel. – On był na nas. Mama przysłała mi z Włoch pieniądze na buty, kupiłem sobie adidasy, wyższe takie, ściągałem je akurat w domu, gdy ojciec zobaczył. „Ja to bym wam kalosze kupił, nic więcej!” – krzyknął i za ten kij.

Miał potem sine pręgi na plecach i nogach. Kij był w użyciu, kiedy któreś się spóźniło wieczorem do domu, nawet o pięć minut, była też psia smycz, no i pięści, oczywiście. Albo gdy ojciec wracał do domu i widział, że do dzieci przyszedł jakiś ich znajomy. Uczyć się nie uczył, ale zabawy im się zachciewa, nieroby. I za kij. Albo gdy w piwnicy zapalki do rozpalania pieca były położone nie w tym miejscu co trzeba, nie tak jak należy, albo za spojrzenie nie takie, gest nie taki, za cokolwiek.

Paweł długo moczył łóżko, już był dużym chłopakiem i jeszcze mu się zdarzało, za to też obrywał. Daniel miał odstające uszy, „uszatek!”, krzyczał za nim ojciec, Anka słabo widziała, jedno oko jej uciekało, „zezo!”, „gówniara!”.

Eugeniuszowi nie podobało się, że żona jeździ na zarobek za granicę, kurwi się tam pewnie, mówił dzieciom. Przyjeżdżała co trzy miesiące, zostawała na trochę, znów wyjeżdżała. Było lepiej, głodu już nie było, a wcześniej, pamięta Daniel, zdarzało się, że na kolację były same ziemniaki czy jabłka.

Tylko ze szkołą było słabo. Paweł chodził do zawodówki handlowej, ale w kratkę, w końcu go skreślili. Najstarszy z trójki ogarniał teraz dom, sprzątał, prał, gotował, starał się przynajmniej, ale wciąż było nie tak, stał przy garach, podchodził ojciec, jesteś taki sam jak matka, nic nie umiesz, gotować też, skurwysynu.

Daniel ciągnął zawodówkę samochodową, jakoś tam mu szło, może dlatego dostawał od ojca trochę rzadziej niż reszta, niż Anka zwłaszcza, bo na nią

ojciec w tym ostatnim czasie był szczególnie jakoś zawzięty. Jako jedyna potrafiła mu odpyskować. Uczyła się w gimnazjum. Drobna, szczupła, w okularach. Gdy się zdenerwowała, zaczynała się jąkać, trudno wtedy było zrozumieć, co mówi.

Kiedyś tak ją uderzył, że okulary się połamały. Anka na jedno oko prawie nie widzi, trudno byłoby jej w szkole. Sąsiadka widziała ją, jak siedzi na ganku domu i płacze z powodu tych okularów. W końcu skleiła ramki taśmą klejącą i tak nosiła.

Gdy tylko Daniel zamknie oczy, znów jest w kuchni tamtego wieczoru, znów widzi Ankę na stole, nad nią ojca, dłonie zaciśnięte na jej szyi i jej twarz, która robi się sina. Widzi, jak rzucają się z bratem, jak próbują go odciągnąć, słyszy, jak krzyczą: „Tato! Zostaw!”.

BABCIA

Gdy Teresa wyjechała do pracy, do dzieci przychodziła jej matka, emerytka z kilkoma chorobami. Gotowała wnukom. Od zięcia usłyszała o Teresie: „Kurwa wyjechała, zostawiła dzieci, teraz będą liście żreć, a jak tych zabraknie, to żwir”, zeznała potem w prokuraturze.

Eugeniusz nie krępował się przy niej, słyszała, jak wyzywa dzieci, Daniel pokazywał jej guza, którego kiejem nabił mu ojciec, za te buty. Babcia widziała, jakie zakupy robił dzieciom ojciec: jeden bochenek chleba, butelka oleju i coś dla psa, dla bokserki Tekili.

Teresa przysyłała już pieniądze jej, ona przekazywała je dzieciom, ale po kryjomu, jak na przykład Ani na kurtkę. Szybko przestała przychodzić, bo zięć powiedział, że nie chce jej więcej widzieć, zdenerwował się z jakiegoś powodu. „Won!” – chwycił za kij z ganku, tak że ledwo zdążyła uciec po schodach.

NAGRANIE

Dom od wielu lat nie należy już do rodziny, mieszkają w nim obcy ludzie.

Najbliższa sąsiadka dorastała razem z dziećmi Eugeniusza i Teresy. – Rozmawiało się z nimi normalnie na ich podwórku, ale gdy zbliżał się czas, że ojciec wracał z pracy, nagle robiło się nerwowo, wpadali w popłoch. „Idź już, idź!” – prosili mnie – opowiada. – Każdy wiedział, że on pije. Wokół domu wszystko robiły dzieci. Kosyły trawę, czyścili kostkę.

Gdy była starsza, zdarzało się, że chodziła z Pawłem na fajkę za dom. Przychodził pod jej okno, wołał ją. Pamięta, jak kiedyś miał podbite oko. Awantura z ojcem, powiedział. Nie pierwszy raz zresztą widziała u niego siniaki. Ankę znała trochę gorzej, była od niej starsza, parę razy na dyskotekę razem poszły, zawsze była taka cicha i niewyróżniająca się.

– Ale kiedyś pamiętam, siedziałam z nią pod szkołą, na kamieniu, opowiadała mi, że już nie daje rady z ojcem i że nie wie, co dalej robić. Pytałam ją, czy opowiedziała o tym w szkole, tak, opowiedziałam, ona na to.

Matka sąsiadki, która mieszkała tam przed laty, pamięta, jak z okna widziała Teresę, która w piżamie z małymi dziećmi ucieka z domu na sąsiednią posesję, akurat trwała tam budowa domu. Siedziała tam, dopóki mężowi nie przeszła złość. – Młody był człowiek, głupi, nie udzielił pomocy – mówi matka sąsiadki. – Trzeba było jakoś zareagować, gdzieś zadzwonić. Może też się trochę bałam tego sąsiada. Chłai, ale tak skrycie, w domu, nigdy nie widziałam, żeby się zataczał na ulicy.

Pamięta bulki, które wyrzucił na ulicę, bo coś go wkurzyło, zjadał je jej pies. Któreś z dzieci pokazało jej kiedyś kij z ganku. – Słyszałam, jak mówił do chłopaków „ty baranie”, „ty głupku”, to było na porządku dziennym, poniewieral nimi.

Teresa dzwoniła do dzieci kilka razy w tygodniu. „Jak tam u was? Normalnie, jak zwykle”. Może nie mówili jej wprost, co się dzieje, bo nie chcieli, by wróciła? W końcu lepiej, że zarobi trochę grosza.

Paweł i Daniel opowiedzieli kiedyś kumplowi: ojciec wpadł do pokoju starszego z synów i rzucił w niego szklanym półmiskiem, trafił w głowę, syn miał opuchnięte pół twarzy. Kumpel poradził, by poszli na policję, ale oni, że to nic nie da, ojciec się z policjantami zna, wtedy znajomy dał im numery telefonu zaufania z Żar i Zielonej Góry, opowiedział o tym potem w prokuraturze. Nie zadzwonili w końcu, bo myśleli, że po tym pewnie byliby jeszcze gorzej.

W domu był magnetofon, Anka kiedyś nagrała ojca, krzyczał do niej: „Ty kurwo, dziwko, szmato, jesteś taka sama jak matka”, i jeszcze, że zaraz przyjdzie do niej i jej przywali. Kasetę puściła koleżance, która mieszkała obok, słyszała ją też jej matka. Obie zeznały o niej w prokuraturze.

*Gdybym mógł,
zapytałbym go dziś,
dlaczego on tak bardzo
nas nie kochał*

Kiedyś Anka przybiegła do sąsiadki, opowiedziała, że ojciec ją dusił, na szyi miała czerwony ślad. Rzucił się na nią w kuchni, bo coś mu odpowiedziała, bez powodu właściwie. Gdyby nie bracia, gdyby go nie odciągnęli, pewnie był ją udusił. I jeszcze, że kazał jej manele pakować i się wynosić. Spała u sąsiadki dwie noce, potem poszła do babci, bała się, że ojciec ją tu znajdzie i zrobi awanturę, dostała czternaście złotych na bilet i pojechała do koleżanki. Nie było jej w domu kilka dni, wróciła w końcu, bo gdzie miała pójść.

EMPATIA

Jerzy Dubisz przed laty pracował z Eugeniuszem w zakładzie pogrzebowym, jego siostra była właścicielką firmy. – Dobry pracownik, punktualny, dyspozycyjny, a przede wszystkim pogodny człowiek – mówi o Eugeniuszu. – Wiem, że z żoną mu się nie układało, ale o dzieciaki dbał, opowiadał nam o problemach wychowawczych z nimi, że wagarują, do ich szkół w tej sprawie jeździł, on był ze wszystkimi sprawami dzieci na bieżąco, rozmawialiśmy jak człowiek z człowiekiem, było widać, że mu zależy.

Żadnej agresji u Eugeniusza nie zauważył. Wręcz przeciwnie. – Ludzie agresywni w takiej firmie jak nasza nie mogli pracować. Trzeba mieć w sobie trochę empatii. Spokój, cierpliwość. Poza tym trzeba mieć też mocną psychikę, razem jeździliśmy do różnych zdarzeń, trzeba być naprawdę twardzielem, by to robić. Dam przykład: na odcinku 200 metrów rozciągnięte jelita człowieka po zderzeniu z pociągiem. Trzeba to wszystko było pozbierać, osobno głowa, ręce, nogi, palce. Naturalnie, że ma to wpływ na człowieka, ale po Eugeniuszu nic nie było widać. On był przykładem ojca.

Gdyby się znęcał nad rodziną, argumentuje Dubisz, żona przecież przyszlaby do firmy, coś powiedziała, zwierzyła się, a tymczasem firma nic nie wiedziała. A mieli takiego pracownika, który faktycznie w domu rozrabiał, dowiedzieli się o tym od żony i niestety trzeba go było zwolnić.

Co do alkoholu, to jak można pić, gdy jest się 24 godziny na dobę dyspozycyjnym, pyta Dubisz, no, owszem, był system zmianowy, ale żaden z ich kierowców nie miał ochoty nawet na piwo po tej trudnej, obciążającej pracy.

Piotr, inny kolega Eugeniusza z zakładu, zeznał potem na policji, że często razem pili, zdarzało się, że dwa razy w tygodniu, przeważnie u Gienka w domu. Ostatnio miał mu się skarżyć na córkę, że wagaruje, uciekła z domu, a wcześniej „trzasnął ją w pysk”.

KREW

Anka zwierzyła się koleżance z klasy. Koleżanka chciała pomóc, miała brata, a ten dwóch kumpli, bliźniaków. Od słowa do słowa wyszło, że można by ojca Anki zlać, postraszyć trochę, by w końcu odpuścił dzieciom. Bliźniacy bić się potrafili, jeden był już nawet za to karany, drugi, jak się potem okazało, napadł w nocy przechodnia, walnął go w głowę kostką brukową i zabrał pieniądze. Potem zostanie za to skazany.

Anka opowiedziała o pomysle Pawłowi, było jeszcze kilka spotkań z bliźniakami i bratem koleżanki, negocjacje co do ceny. Zadatek miał wynieść 600 złotych, na to konto Paweł dał jednemu z bliźniaków swoją nokię, miał jeszcze po wszystkim dodać ładowarkę do niesz i gwarancję, bo telefon był nowy, a ponadto dresy, buty sportowe, była też mowa o wieży siostry, złotym łańcuszku i bransoletce ojca. Daniel odwiedził się ostatni, udziału w rozmowach nie brał.

Był piątek. Brat koleżanki i bliźniacy przyszli po południu, z piwnicy wzięli metalową, długą na pół metra rurę i gumowe rękawiczki, ukryli się w pokojach rodzeństwa, ojciec wrócił z pracy. Miał gościa, kumpel z roboty, pili wódkę. Gość poszedł, ojciec rozebrał się do bielizny, szykował się do snu, wtedy Paweł, jak to było ustalone, powiedział ojcu, że Anka zostawiła mu jakiś list na biurku w swoim pokoju, i zszedł do piwnicy. Ojciec ruszył na piętro, wspinał się po schodach, dostał rurą w głowę, któryś z bliźniaków zepchnął go przez barierkę, runął w dół, to ponad trzy metry. Nie słuchali, gdy prosił, by już nie bili, żeby z ulicy nie było słychać jego krzyków, włączyli wieżę. Technik policyjny znalazł potem głęboki ślad wyłobiony w betonie, pod linoleum, tuż obok jego głowy, ślad po niecelnym ciosie. Bili, odpoczywali, dalej bili, muzyka głośno grała. W końcu już się nie ruszał. Z kieszeni zabrali mu dwieście złotych, pokręcili się po domu, wzięli łańcuszek, bransoletę, dresy i buty, które mieli obiecać, i poszli.

Paweł ojca nie bił, siedział w piwnicy, pilnował psa. Tekila była ostra do obcych. Tylko że ci, co bili, zeznali

Najgorsze było, gdy mnie dotykał.

Gdy mnie łapał za pupę,

za piersi i mówił:

„O, rośniesz”

potem, że gdy w trakcie zrobili sobie przerwę na papierosa, Paweł miał dopytywać, czy ojciec na pewno nie żyje, bo będzie się mścił, i że trzeba to zrobić. Potem, w trakcie, przyszedł, widział Eugeniusza, jak leży we krwi. „Nie żyje?” – chciał wiedzieć. Wycierał jeszcze krew ręcznikami, palił je w piecu w piwnicy. Gdy to wszystko się działo, Anka i Daniel byli w klubie, tak się wcześniej umówili. Przyszedł do nich Paweł, był roztrzęsiony, mówił, że ojca zabili i jeszcze że bardzo tego wszystkiego żałuje.

Była późna noc, gdy wrócili do domu. Daniel się rozplakał, Anka też. Ojciec leżał pod schodami. Anka zadzwoniła po karetkę, jeszcze okryła mu nogi kołdrą, by tacie nie było zimno.

BĘKARTY

– Tamtej nocy runęło mi wszystko – mówi Paweł. – Nie wiem, dlaczego ich nie powstrzymałem, gdy go bili, dlaczego tak się zachowałem, miałem w głowie jeden wielki chaos, siedziałem w tej piwnicy, ze łzami w oczach, trząsłem się cały, bałem się strasznie, ich, ojca, czekałem, co będzie, nie wiedziałem, co robić, to wszystko wymknęło się spod kontroli. Miało być przecież inaczej. Do dziś nie wiem, jak to sobie ułożyć w głowie. Ojciec często mówił, że jesteśmy bękartami, dziećmi alfonsa, od dziecka to słyszałem, gdy byłem mniejszy, myślałem, że to może dlatego, że to ktoś inny jest naszym tatą. Gdybym mógł, zapytałbym go dziś, dlaczego on tak bardzo nas nie kochał.

PRAWDA

Paweł pękł pierwszy. Dobę później postanowił powiedzieć „prawdę, jak było”. Potem Daniel i Anka. Brat jej koleżanki i jego dwaj kumple zostali szybko zatrzymani. Prokurator postawił zarzuty, dzieci Eugeniusza przyznały się, ci, co bili, też, sprawa rozwiązana błyskawicznie. Sukces policji. Eugeniusz zginął 6 kwietnia, a 9 kwietnia funkcjonariusze przekazali informacje dziennikarzom. Śledztwo trwało, ale wszystko już przecież było jasne.

W protokołach z przesłuchań opowiadają, jak to było, o tym, jak ojciec zachowywał się wobec nich – mało, można odnieść wrażenie, że to zaledwie wątki poboczne.

Podczas jednego z przesłuchań Daniel oświadczył, że Eugeniusz był bardzo dobrym ojcem, dbał o dom, że nigdy nie zdarzyło się, by go bił, raz może Pawła uderzył, prawdziwe problemy były natomiast z Anką, chodziła na wagary, obrażała nauczycieli, potrafiła zwrócić się wulgarnie do ojca. To był jej pomysł, by go zabić.

– Zupełnie nie pamiętam, bym mówił coś takiego. Przecież to nieprawda – opowiada Daniel. – Jak mi ściągali odciski palców, pokazywali mi tablicę na ścianie. Były tam różne zdjęcia, z wypadków też, policjanci, a wśród nich mój ojciec. Nawet nie ukrywali, że go znali. Dwóch albo trzech mnie przesłuchiwało. Pokój był otwarty, cały czas ktoś wchodził, wychodził. Policjanci krzykali: „Mów albo w mordę ci wyjebie! Wpierdol zaraz dostaniesz!”. Nawet nie czytałem tego, co mi dawali do podpisu, byłem strasznie zestresowany, podpisywałem, bałem się. Oni zresztą nawet nie dawali mi spokojnie przeczytać, co tam jest napisane, tylko „podpisuj to, chuj!”. Albo obiecywali, że jak podpiszę, to wyjdę. Nie dawali mi spać w nocy, co tylko usnąłem, to światło, pobudka i znów przesłuchanie. Miałem 17 lat, to co ja tam mogłem wiedzieć o systemie? O tym, jak się zachować? Policjanci po prostu nas porobili.

Jednym z funkcjonariuszy, który przesłuchiwał Daniela (akurat w dzień), był Antoni Chabraszew-

ski. Dziś jest radnym gminy Żary. To właśnie jemu Daniel miał mówić o tym, jak dobrym ojcem był Eugeniusz. – Nie byłem prowadzącym tej sprawy i jej nie pamiętam, tego przesłuchania też – twierdzi Chabraszewski. – Każdy z nas prowadził po kilkadziesiąt spraw miesięcznie, trudno je zapamiętać. A po 20 latach wiele rzeczy można konfabulować. Równie dobrze ktoś może teraz powiedzieć, że dałem mu granat do ręki i oświadczyłem, że jak się nie przyzna, to wybuchnie. Nigdy nie stosowałem środków przymusu, o których pan mówi, i wykluczam, bym mógł tak do kogoś mówić podczas przesłuchania. Nigdy nie było na mnie skargi. Poza tym i wtedy, i teraz, jak ktoś chce się bronić, mówi, że policja go źle przesłuchiwała.

Paweł: – Przesłuchiwali mnie w nocy. Tłumaczyłem, że się tata znęcał fizycznie, psychicznie, policjanci krzykali: „Przyznaj się! Zaplanowaliście to wszystkim!”. Walili pięściami w stół, biegali wokół mnie, jeden bawił się paskiem od spodni. Jak się przyznam, powtarzali, to mnie zaraz wypuszczą. Co jakiś czas do pokoju przesłuchań zaglądał policjant, który dobrze znał się z ojcem, jego dziewczyna mieszkała blisko nas, często do niej przyjeżdżał, kojarzyłem go. Zresztą jeszcze w latach 90., jak komórek nie było, cały czas do nas do domu przychodzili policjanci, dawali tacie karteczki, że ma się stawić tu i tu, zwłoki zabrać.

Jerzy Dubisz, który przed laty pracował z Eugeniuszem, nie ukrywa, że cały czas mieli kontakty z policją. – Taka specyfika pracy. Naturalnie, Eugeniusz też policjantów znał, ale tak żeby utrzymywać kontakty prywatne, to absolutnie. Żaden z nas tego nie robił – zapewnia. – To, co się stało, było dla nas szokiem. Może to niepopularne, co powiem, ale za takie rzeczy to jest tylko i wyłącznie kara śmierci. Chłop pobudował dom, o dzieci dbał i tak skończył, to najbardziej bulwersuje. A ta Anka, córka, to ona była sprężynką tej całej roboty.

Teresa mówi, że przez całe życie jej dzieci były wystraszone, wstydlive, nieśmiałe. – Córka miała 16 lat, opowiadała mi potem, jak policjanci ją straszili. W pokoju przesłuchań stało krzesło z kajdankami, mówili jej, że jest elektryczne, „jak nie powiesz tego, co chcemy, to cię tam zaraz posadzimy!”.

Krzykali na nią, gdy próbowała coś powiedzieć, zebrać myśli, przerywali. „Mów! Twój brat i tak nam już wszystko powiedział!”, płakała, ale nie zwracali uwagi. Anka, zwłaszcza gdy się zdenerwuje, jąka się, potrzebuje czasu, ale czasu nie było. „Masz potwierdzić to, co powiedział twój brat! Tak będzie lepiej dla wszystkich!”.

7 kwietnia, godz. 0.40, z protokołu wynika, że Annę przesłuchiwał jeden policjant. Zeznała: „Gdzieś z miesiąc temu postanowiłam zabić ojca”. „Oni zgodzili się zabić mojego ojca”. „Ojciec miał być zabity tego dnia”. „Wszyscy to planowaliśmy, zgodziliśmy się na to, by oni zabili mojego ojca”.

DOROSŁA

Anka, mimo że nieletnia, była przesłuchiwana jak osoba dorosła. Prawo – i to obowiązujące w 2002 roku, i obecnie – mówi tymczasem, że nieletni może być przesłuchiwany w obecności rodziców, opiekuna prawnego, obrońcy, a jeżeli to niemożliwe, wówczas należy wezwać nauczyciela, przedstawiciela ośrodka pomocy społecznej czy organizacji zajmującej się nieletnimi. Zeznań złożonych w innych okolicznościach sąd nie powinien w ogóle brać pod uwagę.

Anka i Paweł zeznali jeszcze policji, że wcześniej próbowali ojca otruć. Brat precyzował, że kupił w tym celu dwa gramy amfetaminy, które wysypał ojcu do herbaty. Ale ten po jednym łyku zorientował się, że coś jest nie tak, i jej nie wypił, plan nie wypalił.

– To nie była żadna amfetamina, tylko środki uspokajające, które dostałem od babci – mówi Paweł. – Rozpaczliwie chcieliśmy, żeby ojciec w końcu dał nam spokój, by poszedł po pracy spać. Nie mówiłem o babci, jak mnie przesłuchiwali, bo nie chciałem jej w to mieszać, bałem się o nią.

Dwa tygodnie po nocnym przesłuchaniu Anki przez funkcjonariuszy prokurator Prokuratury Rejonowej w Żarach przesłuchiwał koleżankę bliźniaków, co lubili się bić. Kilka razy słyszała, jak rozmawiali między sobą o pobiciu jakiegoś faceta, starali się, by nikt tego nie słyszał, wychodzili do innego pomieszczenia. Ale ona i tak zorientowała się, o co chodzi. „Oni rozmawiali o pobiciu i postraszeniu, nigdy nie słyszałam, aby któryś z nich powiedział o zabiciu kogokolwiek”.

W tym samym czasie prokurator przesłuchiwał jeszcze troje innych młodych ludzi, znajomych rodzeństwa, wszyscy zeznali, że ojciec miał zostać pobity.

O zabójstwie nikt nie wspominał.

WINA

Wyrok zapadł w lutym 2005 roku przed Sądem Okręgowym w Zielonej Górze. Kary były zgodne z oczekiwaniami prokuratury z wyjątkiem Pawła, bo śledczy chcieli dla niego 15 lat, a sąd uznał, że powinien dostać 25, tyle samo co ci trzej, co bili.

W trakcie procesu oskarżeni wycofywali się z zeznań składanych na policji, w tym Paweł, Anna i Daniel, mówili o agresji policjantów. Sąd (sędziowie Dariusz Maj i Roman Majer oraz trzech ławników) przyjął jednak, że to właśnie zeznania złożone w pierwszych dniach śledztwa były spontaniczne i szczerze, a zarzuty wobec policjantów uznał za absurdalne, przecież udział w przesłuchaniach brali różni funkcjonariusze, zmieniali się, a trudno założyć, że wszyscy się zmówili przeciwko oskarżonym.

Sąd uznał, że zabójstwo zostało zaplanowane, a jego pomysłodawczynią była Anna. Eugeniusz miał zginać, a dowodem były gumowe rękawice i fakt, że sprawcy nie byli zamaskowani, czuli się swobodnie, bo wiedzieli, że ofiara nie przeżyje.

Eugeniusz miał dobrą opinię w pracy, nie pił i był człowiekiem opanowanym. Próbował zaprowadzić w domu dyscyplinę, zmusić dzieci do nauki i skończyło się to dla niego tragicznie. Daniel przecież zeznał na policji, że ojciec dbał o dom. W odpowiedzi dzieci próbowały go jeszcze otruć.

To, że świadkowie słyszeli tylko o zamiarze pobicia, a nie zabójstwa, o niczym nie świadczy, przecież oskarżeni, planując zabójstwo, nie mówiliby o tym.

Co do samej Anny – jest ona osobą wysoce zde-moralizowaną, co potwierdziła opinia ze schroniska dla nieletnich, w którym przebywała po zabójstwie, niedostosowana społecznie, bo między innymi paliła papierosy i opuszczała lekcje. Ojciec ograniczył jej swobodę. Dzieci zabiły własnego ojca, to zanik jakichkolwiek norm moralnych, przeszkadzało im, że zwracał im uwagę. Wszystko zostało dokładnie zaplanowane. Córnka, która nakłania do zabójstwa własnego ojca, dzieci planujące je – to wywołało wielkie oburzenie opinii publicznej. W schronisku dostawała nagany, potem wprawdzie jej zachowanie się poprawiło, dostawała też pochwały, ale to był tylko kamuflaż, by dostać lepszą opinię. Ona nie ma poczucia winy, inni oskarżeni również. Dopiero w ostatnim słowie powiedzieli, że żałują.

APELACJA

Wyrok zapadł w czerwcu 2005 przed Sądem Apelacyjnym w Poznaniu (sędziowie Paweł Sypniewski, Hanna Grądzielewska i Marek Hibner). Kary zostały utrzymane, z tym że Daniel zamiast 12 lat dostał 10. Eugeniusz chciał, by jego dzieci prowadziły przykładne życie, ale im to nie odpowiadało.

LASKA

Rok 2005, 2009, 2023. Trzy razy Paweł starał się o łaskę prezydenta RP. Dwie poprzednie próby były bezskuteczne, bo negatywnie zaopiniowały je sądy – okręgowy w Zielonej Górze i apelacyjny w Poznaniu. Do Kancelarii Prezydenta nawet nie dotarły.

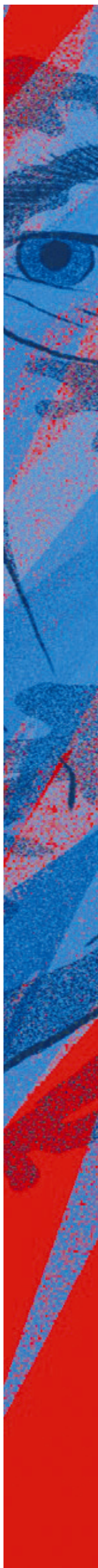
Paweł miał nadzieję, że może za trzecim razem prezydent okaże mu łaskę. Jest już jasne, że tak się nie stanie. Te same sądy ostatnio uznały, że prośbę Pawła należy ocenić negatywnie.

Kodeks postępowania karnego mówi, że gdy skazany stara się o łaskę, sąd, opiniując, bierze pod uwagę między innymi, jak zachowywał się po wyroku, ile czasu od niego upłynęło, stan zdrowia, a „przede wszystkim szczególne wydarzenia, jakie nastąpiły po wydaniu wyroku”. W przypadku Pawła to ostatnie jest problemem. Ma bardzo dobre opinie resocjalizacyjne. W więzieniu skończył szkołę, pracuje, ale to za mało. Sądy często zwracają uwagę, że w jego życiu brak szczególnych wydarzeń.

– Gdyby proces karny Pawła i jego rodzeństwa trwał dziś, nie wątpię, że wyroki byłyby zupełnie inne – uważa Katarzyna Majkowska, adwokatka z Poznania, która reprezentuje Pawła. – Przez dwie dekady podejście do ofiar przemocy w rodzinie bardzo się w Polsce zmieniło. Sądy biorą pod uwagę kontekst. W przypadku Pawła był on, moim zdaniem, oceniany w stopniu minimalnym, po prostu dzieci pozbyły się taty, bo chciały chodzić na dyskoteki i robić, co chcą.

POMOC

Anna jest wciąż poszukiwana przez polską policję. Prawie dwa lata była w schronisku dla nieletnich, została zwolniona wiosną 2004 roku, na wolności



miała czekać na wyrok. Tymczasem wyjechała do Włoch. Gdy wyrok się uprawomocnił, wydano za nią list gończy, a potem europejski nakaz aresztowania.

Małgorzata M. się boi. Dwadzieścia lat temu była pedagogiem w szkole Anki. Gdy dowiedziała się, że Anka nie przyszła na ostatnią rozprawę i nie można jej znaleźć, była przerażona. Ten lęk trwa. Obawia się, że dzieci Eugeniusza mogłyby ją znaleźć, mścić się.

– Cokolwiek tam się działo w tej rodzinie, to nie usprawiedliwia tego strasznego czynu – mówi Małgorzata M. – A można było powiedzieć, przyjdź do mnie, ja bym poszła do specjalisty czy ośrodków pomocy, umieścilibyśmy dziecko w rodzinie zastępczej. A tu w ogóle nie było tematu. Potem mnie oskarżano, były takie głosy, nieliczne wprawdzie, że nie do końca spełniłam swoją rolę, skoro dziecko nie przyszło, nie powiedziało mi, co się dzieje.

Fragment zeznań pedagog z 2002 r. w prokuraturze: „Rozmawiałam znowu z nią [z Anną] i pytałam o sytuację w domu. Ona powiedziała, że ojciec zaczął krzyczeć i zaczął ją dusić. Umówiłam się z nią, że nie będę wzywała ojca, żeby tylko ona chodziła do szkoły”.

– Ale to już było moment przed tym morderstwem! – mówi Małgorzata M. – W ostatnim tygodniu. To było raz. Anna po prostu nie chodziła do szkoły.

Wzywany był Eugeniusz, potem raz czy dwa sam przyjechał dowiedzieć się, jak wygląda frekwencja córki. Rozmawiała z nim Małgorzata M., wydał jej się oschły, ale przecież dzieckiem się interesował. Regularnie z Włoch dzwoniła matka Anny i usprawiedliwiała u wychowawcy nieobecności córki, najczęściej jej chorobą, ale mówiła nic o przemocy.

– Im się po prostu nie chciało chodzić do szkoły, mama im jakieś pieniądze z Włoch przywoziła – uważa pedagog. – Ojciec, fakt faktem, jak później sąsiedzi mówili, czasem popijał. Był chyba mało uczuciowy, no jak to mężczyzna, dryg wojskowy i tak dalej. Może nie miał predyspozycji rodzicielskich, ale ktoś z nas ma?

A jak dziś zareagowałaby Małgorzata M., gdyby uczennica powiedziała jej, że dusił ją rodzic? – Zostałabym dziecko w gabinecie, poinformowała różne służby, poprosiłabym psychologa – odpowiada. – Ale nie zmienia to faktu, że Ania też powinna powiedzieć wcześniej, co się działo w domu. Gdy ją pytałam, dlaczego nie chodzi do szkoły, wzruszała ramionami. A poza tym błąd popełniał wychowawca, bo usprawiedliwiał te godziny, co z kolei mi wiązało ręce, by skierować sprawę do sądu, że dziewczyna nie realizuje obowiązku szkolnego.

Małgorzata M. bardzo to wszystko przeżyła, dziś nie ma wątpliwości: Anna nie dawała sobie pomóc.

KAMIEŃ

Jego w tych snach nie ma, jest dom w ślepej uliczce, pusty, jest w nim sama, jest noc. Jest jej pokój, biurko, łóżko, na nim ona, nie śpi, ma otwarte oczy, czuwa. Dom jest pusty, ale jakby coś w nim było, coś złego. Ona czeka, czy on przyjdzie, czy otworzy drzwi jej pokoju, boi się tak, że żołądek podchodzi jej do gardła i włosy stają dęba. – Od kiedy się pan odezwał, cały czas mi się to śni – mówi Anna, gdy spotykamy się w małym miasteczku niedaleko Pizy. – Te sny o domu wracają do mnie od lat.

Zdarzało się, że wpaadał do jej pokoju, wyrzucał śmieci z kosza tak, że latały wszędzie, albo walił krzesłem lub drzwiami. Ale nie to było najgorsze.

– Najgorsze było, gdy mnie dotykał. Gdy mnie łąpał za pupę, za piersi i mówił: „O, rośniesz, będziesz taką samą kurwą jak twoja matka”. A potem opowiadał, co będą z mną robić faceci, wymieniał jakieś nazwisko, znajomego, kogokolwiek, i mówił: on ci to zrobi. A potem następne i kolejne. To z tobą zrobią, tak będą cię jebać. Paweł mnie obronił, dwa razy, ale on przecież sam się go bał. To było w tym ostatnim czasie. Nawet nie wiem, jak panu powiedzieć, jak się wtedy czułam.

Sąsiadka, która chodziła z Pawłem na fajkę za dom, pamięta, co powiedział, gdy spytała o to podbite oko. – „Anka nakładała obiad i ją złapał”. Wiem od niego, że ją obmacywał, dorastała przecież. Dramat. Paweł obrywał, gdy stawał w jej obronie.

Daniel: – Był pijany, miał na sobie tylko koszulkę na ramiączkach i majtki, mówił do Anki, wtedy była dziewczynką: „Pokaż cycki!”. A jak się zareagowało, to wpierdol. Na pewno mówiliśmy o tym na policji, ale albo nie zapisywali, albo nie wierzyli.

Agnieszka dowiedziała się o wszystkim dopiero, gdy spotkały się we Włoszech. – Ja sama pamiętam inne zdarzenie z ojcem, miałam osiem, może dziesięć lat, nagle przewrócił mnie na łóżko, położył ręce na mojej klatce piersiowej i powiedział: „Nic ci tu jeszcze nie rośnie, płaska jesteś, twój chłopak nie będzie miał za co łąpać”.

Anna przyznaje: tak, chciała, by ojciec został pobity, za rozbitą głowę matki i za to, co robił jej. Po tym, jak ją dusił, nie było jej tydzień w domu, wróciła w piątek rano i tego samego dnia poszła do szkoły. – Pokazałam pani siniaki na szyi, powiedziałam, co się stało, i nie usłyszałam: zaraz cię zbadamy, zajmiemy się tobą, tylko: „Jutro jest sobota, w poniedziałek cię zawołam i porozmawiamy”. A w sobotę to wszystko się stało. W Polsce naprawdę trzeba leżeć na podłodze, żeby ktoś zobaczył, że się źle czujesz.

W 2006 roku piła kawę ze znajomymi w restauracji w Pizie, nagle rutynowa kontrola policji. Anna została wylegitymowana i zatrzymana. Za podżeganie do zabójstwa ojca ma do odsiedzenia w Polsce 15 lat. Trafiła do aresztu. W lutym 2007 roku jej sprawą zajął się Sąd Apelacyjny we Florencji. Trzech sędziów uznało, że podczas postępowania karnego w Polsce Anna, choć nieletnia, nie była tak traktowana. Jest to niezgodne z włoskim prawem. Sąd odmówił więc jej ekstradycji do Polski i kazał ją zwolnić.

– Zdarza się, że jestem kontrolowana przez policję – opowiada. – Gdy jadę z kimś autem czy czasem w pociągu, to wszystko rutynowe kontrole. Wychodzi im, że jestem poszukiwana, biorą mnie na bok, sprawdzają dokładnie i po półgodzinie zwalniam, czasem pytają, co się stało, co to za sprawa, z ciekawości. We Włoszech nigdy nie dostałam nawet mandatu. Cały czas pracuję, zajmuję się starszymi osobami, jak mama i siostra. Wiem, że mogę być tylko tu, we Włoszech, że nigdzie nie polecę, nigdzie nie wyjadę. Bardzo mnie to boli. Paraliżuje mnie, gdy słyszę słowo „ojciec”, ja o nim tak nie myślę, gdy ktoś mnie pyta o „ojca”, mówię, że mój umarł, bo był alkoholikiem.

Gdy wpisze swoje nazwisko w internecie, widzi strony polskich portali, a tam artykuły na podstawie materiałów policyjnych: najbardziej poszukiwani polscy przestępcy! Zdjęcia z listów gończych, wśród nich ona. – Czasem chcę zadzwonić do tych redakcji, wykrzyczeć do telefonu: nie tak było! Ale nie mam siły, poza tym co to da? Staram się żyć jak najdalej od tego wszystkiego, gdy tylko sobie to przypominam, chce mi się płakać, kręci mi się w głowie, mdli mnie.

W Polsce, gdy wyszła ze schroniska, wiele tygodni spędziła na oddziale psychiatrycznym. – Czułam się winna. Tego, co się stało, tego, że się urodziłam. Tego, że nie wiedziałam, jak zareagować, co zrobić.

Minęło kilkanaście lat, nim związała się z kimś. Wcześniej nie potrafiła, spędziła lata w cudzych domach, ciągle w pracy. Wciąż zdarzają jej się ataki paniki. Jej partner miał świetne dzieciństwo, spokojne, kochających rodziców, gdy jest u niego, jego ojciec na chwilę podniesie głos, coś błędnego, ona cała drętwieje, albo gdy jej sąsiadka z góry przesunie krzesło. Nie wie, czy kiedyś będzie lepiej, wątpi.

– Czuję, jakbym miała na sobie wielki, ciężki kamień, on mnie przygniata.

ZDJĘCIA

Odsiaduje karę w Areszcie Śledczym w Poznaniu. Chciałem się spotkać z Pawłem, ale nie dostałem zgody na widzenie. On za to może dzwonić do mnie z korytarza, rozmawiamy pięć razy.

– Więc to mnie nakręca, nadzieja, wychodzę, zakładam firmę, żyję. Mam listę rzeczy, które zrobię pierwszy raz, zdziwiłby się pan jak długą. Uzbierało się trochę przez ponad 20 lat. Pierwszy raz za kierownicą auta usiądę, bo nigdy nie siedziałem, nauczę się jeździć, nauczę się pływać, stałem w wodzie tylko do kolan, nad jeziorem, zrobię mamie kawę, nigdy nie miałem okazji, prezent jej kupię, pierwszy raz w życiu coś ode mnie dostanie, kolczyki jakieś, bransoletkę może, zjem owoce morza pierwszy raz, zobaczę, jak smakuje kebab, kupię sobie golarkę elektryczną, takie zwykłe rzeczy, banalne, wstyd pewnie trochę o tym mówić, Ania nauczy mnie żyć nowoczesnie, tak mówi, komputer obsługiwać, telefon.

Zatańczę z kobietą, nigdy nie miałem okazji, kolega z celi trochę mi kroków pokazał. Zakocham się, zobaczę, jak to jest, podobno jak człowiek jest zakochany, to czuje się tak, jakby deszcz padał, ale wszystkie krople go omijają.

Wszystko zrobię pierwszy raz.

Wiele razy było tak, że gdy tata był pijany, awanturował się, uciekaliśmy wszyscy na górę, do pokoju Agnieszki, tam było duże łóżko, siadaliśmy na nim – Aga, Ania, Danielek i ja, mama zawsze na krawędzi. Byliśmy blisko siebie, przytuleni, mama mówiła, że jak coś się wydarzy, że jak coś się jej stanie, mamy się kochać, szanować, dbać o siebie. Gdy wyjdę, zawsze będę przy nich, przy mojej rodzinie. Będę nam robił zdjęcia, strasznie dużo zdjęć, może choć trochę uda się ten czas zatrzymać. Kończę już, bo za mną kolejka, to tyle ode mnie, cześć. ●

Księża mogą się kąpać w morzu, zakonnice co najwyżej zamoczyć stopy.

Siostra Paula Formela: – Zdarza się, że wpadamy do morza w habicie. Oczywiście niechęć.

Ksiądz Paweł: – Na Rodos? Na Kretę? Co ty, już tam się nie lata. Teraz się lata w egzotykę – do Tajlandii, Nowej Zelandii, Australii, Papui.

LEŻENIA JEST ZA DUŻO

– Mam krytyczne podejście do wakacji – mówi dominikanin o. Tomasz Dostatni. – To fanaberia współczesności. Pojęcie z drugiej połowy XIX wieku, kiedy człowiek stał się pracownikiem najemnym. Obco brzmiące w kontekście 800-letniej historii naszego zakonu.

– Dominikanie nie mają wakacji?

– Oczywiście, że mają. Trzydzieści dni. Ale ja nie traktuję tego czasu jako urlopu, tylko zmieniam formę aktywności. Przez wiele lat spędzałem urlop z ojcem Janem Górą i młodzieżą na Lednicy, to chyba był najfajniejszy czas. A od kilku lat uczestniczę w festiwalach literackich. Będę na festiwalu Góry Literatury organizowanym przez Fundację Olgi Tokarczuk. Później w Szczepieszynie na festiwalu Stolica Języka Polskiego. Będę słuchał i spotykał się z przyjaciółmi.

– Leżenie na plaży w tym roku nie będzie?

– Nie, bo jak pan poczyta „Monachomachie” Ignacego Krasickiego, to leżenie w klasztorach jest i tak dużo. Jeśli wakacje, to kreatywne. I proszę mnie nie przepytwać, co sądzę o plażowym spędzaniu wakacji przez duchownych, z biskupami włącznie, bo musiałbym być krytyczny. Zaimponował mi za to kardynał z Luksemburga Jean-Claude Hollerich. W wakacje jedzie z młodzieżą w jakieś miejsce na świecie – najczęściej po powodziach, huraganach, trzęsieniach ziemi – gdzie razem budują domy dla biednych. Nie jedzie jako kapelan, ale jako pomoc przy budowie.

– Jest taka okładka „Faktu”, na której w slupach spaceruje po chorwackiej plaży kardynał Dziwisz...

– No cóż, swoją plażę ma nawet Watykan.

NA NIEDZIELĘ MUSZĘ WRÓCIĆ

Ksiądz Jacek przez szesnaście lat był na misjach w Brazylii. Teraz jest proboszczem pod Zieloną Górą. Od dwóch lat nie był na wakacjach, bo nie ma go kto zastąpić w parafii. – Na wakacje mogłem sobie pozwolić na misjach. Zwiedzałem Brazylię, co dwa lata odwiedzałem Polskę. Teraz jestem sam na parafii, mogę gdzieś wyjechać najwyżej na kilka dni. Na niedzielę muszę wrócić, bo nie znajduję księdza, który odprawiłby w zastępstwie cztery msze. Może gdybym mieszkał bliżej Domu Księdza Emeryta, to byłoby mi łatwiej stamtąd kogoś ściągnąć. Możesz mieć długie wakacje, ale musisz mieć znajomego emeryta, żeby chciał odprawiać za ciebie.

POLSKA MNIE KRĘPUJE

Ksiądz Wojciech będzie w tym roku chodził po górach we Włoszech razem ze swoim partnerem Łukaszem. Mieszkają w dużym mieście – Łukasz pracuje w korporacji, Wojciech w parafii. Poznali się na portalu dla gejów. Po kilku randkach wynajęli mieszkanie; po roku kupili wspólne.

Wojciech: – Trzy razy w tygodniu śpię na plebanii. W pozostałe noce jestem u siebie. W tygodniu nie ma szansy gdzieś wyjechać, bo pracujemy, a w weekendy ja muszę być w kościele. Zostają tylko wakacje. Ale dopiero jak wyjadę za granicę, to czuję się swobodnie. Polska mnie krępuje.

– Co to znaczy?

– Kiedy jestem w galerii na zakupach z Łukaszem, to wydaje mi się, że wszyscy mnie wytykają palcami, że jestem tęczy. Za granicą tak się nie czuję.

– Tam trzymacie się za ręce?

– Nie, to nie nasz styl. Ale nie czuję tego stresu.

– To może trzeba na zawsze wyjechać z kraju.

– Myślmy o tym. Wszystko zależy od tego, czy Łukasz dostanie pracę w centrali swojej korporacji. Ja znam języki, pewnie szukałbym pracy w tłumaczeniach, gdybym to wszystko rzucił. Wcześniej czy później rzucę. Choć jak się poznaliśmy, to założyliśmy, że nie rzucam, skoro lubię to, co robię, i jestem doceniany przez Kościół. Niestety po wakacjach, w czasie których przez dwa, trzy tygodnie jesteśmy ciągle razem, nie mam ochoty wracać na plebanie. Koniec wakacji to dla mnie tydzień depresji.

– Do Włoch lećcie sami?

– Z jeszcze jedną parką, również świecko-kapłańską, jak się z nas śmieje nasza kumpela – lesbijka.

Wakacje duchownych

DLACZEGO ZAKONNIK NIE MOŻE JEŚĆ homara

Ksiądz Wojciech: Po trzech tygodniach z Łukaszem nie mam ochoty wracać na plebanie. Koniec wakacji to dla mnie zawsze tydzień depresji



FOT. GETTY IMAGES

MARCIN
WÓJCIK



HOLLYWOOD

Ksiądz Bartek Rajewski jest proboszczem polskiej parafii w Londynie. – Właśnie wyłudowałem w Goleniowie pod Szczecinem. Jadę na pielgrzymkę rowerową na Jasną Górę. Tydzień jazdy, ponad sto osób.

Dłuższe wakacje ksiądz Bartek ma zwykle w listopadzie, wtedy łatwiej o zastępstwo w parafii. Nigdy nie było to proste, a jest jeszcze trudniejsze po brexicie. – Gdybym chciał teraz sięgnąć księdza z Polski, to musiałby mieć pozwolenie na pracę w Wielkiej Brytanii. To procedura, formalności, nie opłaca się rozkręcać tej maszyny na dwa tygodnie. Dlatego szukam kogoś na miejscu, w Londynie i okolicach. Teraz zastępuje mnie franciszkanin, Brytyjczyk, który przez dwa lata pracował w Polsce.

Ksiądz Bartek opowiada, że na listopadowe wakacje wyjeżdża z zaprzyjaźnionym małżeństwem. Byli w Kolumbii, w USA, w tym roku jadą do Ziemi Świętej. – Śpimy w domach przyjaciół. W zeszłym roku u znajomej w Hollywood. Na mszę nie zawsze są warunki. Ale o modlitwie brewiarzowej pamiętam codziennie.

WSTYD MI ZA KOLEGÓW

Ksiądz Andrzej jest wikarym. Pracuje w szkole.

– Wakacje spędzam z rodzicami. Mama ma siedemdziesiąt lat, służy w warzywach. Pomagam jej. Ojciec uprawia ziola dla przetwórci. Kiedyś najpierw jechałem na rekolekcje oazowe, później gdzieś nad morze, na koniec do rodziców. Teraz, jak są starsi, cały urlop siedzę z nimi. Ale nie nudzę się, wyskoczę do kuzynostwa, spotkam się z kolegami z liceum.

Po święceniach byłem kilka razy w ciepłych krajach – Dominikana, Kreta, Chorwacja. Leciałem z kolegą księdzem – zawsze któryś chciał mieć towarzystwo. Było śmiesznie, bo w hotelu za każdym razem myśleli, że jesteśmy parą. Krępowało mnie, że tak jesteśmy odbierani. Przestałem latać, bo nie kręci mnie woda i plaża. Nie chce mi się też wyjeżdżać z kolegami, wstydzę się za nich, jak kiedyś za takiego, który o szesnastej był już pijany i opowiadał ludziom przy basenie, że jest księdzem i może ich wypowiadać w basenie. Albo pojechałem z takim, który przez cały urlop nosił czarne spodnie w kant i przepocną czarną koszulę, a byliśmy w hotelu przy plaży w Grecji. To ja wolę pojechać do rodziców. Mam swój pokój na piętrze. Dom jest już mój, pieniądze inwestuję w remont – teraz robię sobie balkon. Tam są moje najlepsze wakacje all inclusive.

– W domu u rodziców odprawia ksiądz mszę?

– Dlaczego w domu? Codziennie rano jadę do kościoła parafialnego i dołączam do miejscowych księży.

NA CYWILA

Ksiądz Maciej Pliszka jest proboszczem w Korytowie, diecezja szczecińska.

– Wakacje? Mam tutaj, w parafii. Prowadzę niewielkie gospodarstwo. Zwieźliśmy dziś sześć kop siana, daniel się urodził, owce ładnie rosną, jutro jadę po sto kur. A jak chcę się odciąć, to zamykam się w pokoju z książką. Już się w życiu najeżdżiłem.

Ksiądz Maciej Pliszka prowadził diecezjalne biuro turystyczne Santiago. Był z nim w Chinach, Australii, Norwegii, w Ameryce Południowej, na Balkanach. Najbardziej podobało mu się w Medjugorje – widoki i „klimat modlitwy”. Mówi, że oddał już to stanowisko innym księżom, żeby teraz oni mogli coś zobaczyć.

– Czasem na trzy dni nad morze lub w góry pojadę.

– Sam?

– Albo z młodzieżą.

– Po górach chodzi ksiądz w sutannie?

– Nikt chyba nie chodzi po górach w sutannie. Nawet kardynał Wojtyła pływał na kajakach na cywila. Jeśli jakiś ksiądz jedzie do Medjugorje, to nie ma powodu, by ukrywać swój stan duchowny. Jeśli jedzie na Ibizę, nie ma powodu, by chodził po plaży w sutannie.

MY PŁYWAĆ NIE MOŻEMY

Siostra Paula Formela należy do Zgromadzenia Świętej Katarzyny, jest zakrystianką w katedrze w Olsztynie. Należą jej się trzy tygodnie wakacji. Kieszonkowe dostaje od przełożonej.

– Kiedy żyli rodzice, brałam urlop ciągiem, żeby z nimi pobyc jak najdłużej. Po ich śmierci dzielę ten czas na trzy części – tydzień w Paryżu u brata, zaprasza mnie do siebie, za wszystko płaci. Tydzień w rodzinnym domu, u drugiego brata. I tydzień w Krakowie, goszczę u księży laterańskich na Kazimierzu – znamy się z czasów, gdy niedaleko pracowałam. Wtedy jadę sobie na jeden dzień do Zakopanego.

– Po górach chodzi siostra w habitcie?

– W lekkim, przewiewnym fartuchu. Zdarza mi się założyć dres pod fartuch.

– A morze?

– Pływać nie możemy, bo niby jak, trudno i śmiesznie byłoby zanurzyć się i pływać w habitcie.

– Nie może siostra założyć stroju kąpielowego?

– Zwariował pan!? Ale możemy spacerować brzegiem, brodzić w wodzie, usiąść na piasku. Zawsze też można „niechący” wpaść do morza i wtedy mówi się trudno, popływam już w tym habitcie, jeśli nie ma tłumów w wodzie i na plaży.

W KLASZTORZE U KUZYNIA

Ksiądz Paweł, wikary w miejskiej parafii, uczy w liceum religii: – Na Rodos? Na Kretę? Co ty, już się tam nie lata. Na plaży nudy. Teraz się lata w egzotykę – do Tajlandii, Nowej Zelandii, Australii, Papui. Szkoda tego nie zobaczyć, życie jest jedno. W zeszłym roku byłem w Australii, dwa lata temu w Japonii, trzy – w Republice Południowej Afryki. Księża biorą kredyty na dwa zbytki: na samochód albo na podróż, albo na to i na to. W tym roku daleko nie pojedę – niedawno pochowałem tatę, przez to nie miałem głowy planować wakacji. Latam z kolegą księdzem, ale wszystko muszę sam organizować. On mówi: „Wyślij mi tylko datę, miejsce wylotu i jaką walutę mam zabrać”.

Wakacji mam miesiąc. Tak jest ustalone z proboszczem. Gdybym chciał sześć tygodni, to też by przeszło. Wtedy tylko muszę się liczyć z tym, że proboszcz też zniknie na sześć tygodni. Gdzie? On to bardziej duchowo: rekolekcje u jezuitów, wyprawa do Santiago de Compostela albo siedzi w Alpach w klasztorze u swojego kuzyna, który jest tam braciszkiem. W tym roku może też wyskoczyć na kilka dni do tego klasztoru w Alpach, pomodłę się tam za tatę, może uda się zabrać mamę. Nie ma tam cennika, bo to miejsce tylko dla znajomych. Ale niepisana zasada jest, że pokrywa się koszty wyżywienia, prądu, wody i zostawia jeszcze trochę więcej. W ferie zimowe odbiję sobie i polecę powłóczyć się z plecakiem po Boliwii. Mam tam znajome zakonnice, u których mogę mieć bazę.

ZA 15 TYSIĘCY W NIEMCZECH

Krzysztof Dzieńkowski jest jezuitą, od 8 lat w zakonie, przygotowuje się do święceń kapłańskich, więc w ciągu roku jego główne zadanie to studia. Oprócz tego ewangelizacja w mediach społecznościowych (na Instagramie ma 23 tysiące obserwujących) i opieka nad wspólnotą świeckich przy kościele jezuitów w Warszawie.

– Mam trzy tygodnie wakacji. Tydzień spędzam w domu rodzinnym, tydzień u przyjaciół świeckich, tydzień z braćmi z zakonu – wyjeżdżamy, najczęściej w góry, mamy kieszonkowe od przełożonego. Wolę las od plaży, bo więcej do mnie mówią.

– A w ciągu roku odpoczynku nie ma?

– Wspinam się na skalce. Dla wyrównania wysiłku intelektualnego i fizycznego.

Jacek Hajnos jest dominikaninem, w tym roku wyświęcony został na księdza, będzie pracował w parafii w Gdańsku. Wakacje dzieli na dwie części – w domu rodzinnym i rekolekcje ze świeckimi. Mówi, że każdy dominikanin co miesiąc dostaje od przełożonego 200 złotych na drobne wydatki, a na wakacje około 2 tysięcy. Można te pieniądze

wydać nad Bałtykiem, można nad cieplejszym morzem, ale zasada jest taka, że wakacje nie mogą nikogo gorszyć, więc zakonnik nie powinien lecieć na Dominikanę, spać w luksusowych hotelach czy jeść homara.

– A jeśli zakonnik nie jedzie na wakacje, to też dostanie 2 tysiące?

– Dostanie. Znam takich, którzy przeznaczają je dla potrzebujących. Można sobie też kupić rower. Albo przez kilka lat zbierać na podróż dookoła świata.

Ksiądz Rafał, wikary: – Ja klasycznie: Tatry, Bieszczady, kajaki na Mazurach. Kolega jeździ na zastępstwo do Niemiec. Tam siedzi miesiąc, przywiezie z piętnaście tysięcy od parafii, w której ma zastępstwo. Leci później w ferie zimowe poleżeć na plaży.

W JEDNYM ŁÓŻKU

Na wakacjach już byli. Jeździli po Szwecji dziesięć dni.

Ksiądz Krzysztof: – Uczelnia, na której pracuję, w wakacje nie działa, więc mam wolne, teoretycznie. Bo mam jeszcze obowiązki w parafii, gdzie mieszkam, też teoretycznie, bo mieszkam w domu z Weroniką. Miałem odłożone pieniądze i dostałem spadek, za to kupiłem dom pod miastem. Mam nadzieję, że się w nim zestarzejemy razem. Nic nikomu do tego, z kim mieszkam. A celibat dziś jest, jutro papież może go znieść. Mamy grono przyjaciół, przed którymi nie musimy udawać, że Weronika jest kuzynką, znajomą. Do domu wpuszczamy tylko ich. Co roku spędzamy wakacje za granicą i zazwyczaj za kółkiem. Byliśmy w Islandii, Norwegii, Niemczech, Słowenii, Włoszech, Rumunii, Finlandii. Czy trzymamy się za ręce, chodząc tam po ulicach? Tak, i w hotelu bierzemy jedno łóżko. W Polsce prosimy o dwa, żeby nie kusić losu.

BĘDĘ GOTOWAĆ KAKAO

Siostra Kinga, od 20 lat w klasztorze, na co dzień pracuje w instytucji kurialnej. Pensję oddaje przełożonej. I przełożona daje jej pieniądze na wakacje – 700 złotych, tyle jest od kilku lat, nie było inflacyjnej korekty. Siostry jadą zazwyczaj do rodziny lub do klasztoru swojego zgromadzenia w innej części kraju. Nie słyszała, by któraś siostra pojechała za granicę poleżeć na plaży czy pochodzić po górach. Jeśli zagranicą, to tylko pielgrzymki – Ziemia Święta, Medjugorje, Lourdes, Fatima.

– Mamy klasztory w górach i nad morzem. Siostry się wymieniają. Te z gór jadą do klasztoru nad morze, a te z północy na południe.

– Siostra tak spędza wakacje?

– Nie, ja wyjeżdżam do rodziców na trzy tygodnie, mieszkają na skraju wsi, w lesie, sprzyja to wyciszeniu. Są już starsi, dziękuję Bogu, że jeszcze ich mam. Szoruję podłogi, pieczę, okna, chodniki.

– Czyli nic siostra nie odpocznie?

– Przeciwnie. Czas u nich spędzony to świetny odpoczynek. A najlepszy – w kuchni. W klasztorze nie mam do niej wstępu. U rodziców sama mogę zrobić sobie śniadanie, obiad, kolację, bo w klasztorze wszystko mam podane do stołu i to, co kuchnia zaplanuje, a nie to, na co mam ochotę. Siostry nie mają kulinarnych kaprysów, jemy, co jest, tak jesteśmy nauczone, chyba że któraś zdrowotnie nie może, na przykład smażonego. Zaraz po przyjeździe do rodziców dzwonię do sąsiadki i jedziemy na zakupy spożywcze. Już w klasztorze, kilka dni przed wakacjami, robię sobie listę dań, które ugotuję, i z listą jadę do sklepu. Na pierwsze śniadanie robię kakao, do tego świeże bulki z masłem i powidłami.

– W klasztorze nie ma kakao?

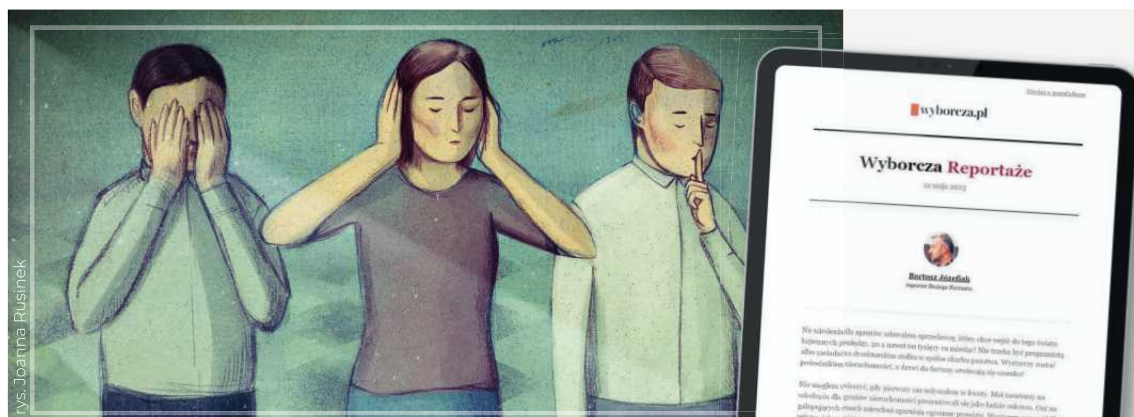
– Poprosiłam i było przez tydzień. Więcej nie prosiłam. Chyba nikt oprócz mnie nie pił.

– Na pierwszy obiad u rodziców co siostra gotuje?

– Kopytka z gulaszem i czerwoną kapustą.

– A na kolację?

– Leczo. A na pierwszy deser racuchy z ciasta drożdżowego. Cały rok marzę o tym, by ubrudzić się mąką w kuchni rodziców. ●



ZAPISZ SIĘ NA NEWSLETTER REPORTERSKI

Historie, których nie da się zapomnieć

wyborcza.pl/newslettery



Czego się nauczyły nauczycielki na wakacjach?

PANI PROFESOR na traktorze

Z naszej szkoły pracuje nas w tej kuchni pięć: ja, dwie kucharki, matematyczka i wuefistka. Ta ostatnia radzi sobie najlepiej, bo to jednak ciężka, fizyczna robota

Helena z półtora etatu w dwóch szkołach wyciąga 6,5 tysiąca na rękę, ale musi utrzymać synów na studiach. Od maja do października sprząta hotele w Niemczech.

Hanna ma 57 lat i na rękę 3,5 tysiąca, ale 800 zł wydaje na same dojazdy do pracy. Żeby spłacić długi, pracuje w kuchni restauracji.

Katarzyna od studiów dorabiała na pełen etat w markecie. Dzięki temu mogła wziąć kredyt na mieszkanie w Tczewie. W te wakacje daje już tylko korepetycje.

Iwona ma niecałe 3 tysiące na rękę. W lecie dorabia jak może, ostatnio karmiła krowy i jeździła ciągnikiem po 35 zł za godzinę.

CZEGO NAUCZYŁA SIĘ HELENA?

• Zmęczenie po sprzątanii mija szybciej niż po szkole

– Na początku trudno było mi się przestawić – mówi. – Człowiek tyle się uczył, a teraz, zamiast odpoczywać w wakacje, zmienia pościel Niemcom i odkurza im podłogi.

Mieszkam przy granicy, w średniej wielkości mieście. Uczę muzyki w szkole podstawowej i jestem nauczycielką wspomagającą w liceum. Jest tam parę dzieciaków z zespołem Aspergera. Niektóre radzą sobie bardzo dobrze, inne są wycofane. Czasem potrafią się „zawiesić”, bo nie rozumieją jakiegoś zdania. Nachyliłam się wtedy i tłumaczę szeptem, o co chodziło nauczycielowi. Czasem pomagam w notowaniu. Odpoczywam w tej pracy po hałasie podstawówki. Ale oczywiście nie o równowagę głównie tu chodzi, tylko o pieniądze. Nie wiem, czy są jeszcze nauczyciele w tym kraju, którzy utrzymują się z jednego etatu w jednej szkole. Mam 45 lat, w zawodzie jestem od 18 lat. Mam status nauczyciela dyplomowanego, a to oznacza, że nie mam już żadnych perspektyw, teoretycznie wszystko osiągnęłam. Pod względem zarobków nic już się nie zmieni, bo

nie ma kolejnych stopni awansu. W podstawówce mam etat, w liceum – pół etatu. W dobrym miesiącu – kiedy nie choruję i nie ma świąt – potrafię zarobić 6,5 tysiąca na rękę, ale pod warunkiem że w podstawówce wyrwę nadgodziny. Przy tablicy spędzam wtedy 38 godzin w tygodniu. Jak po takim maratonie jadę w sezonie do sprzątanii, nie pamiętam, jak się nazywam. W wakacje mam przynajmniej tylko ten hotel, a teraz – apartamenty.

Sprzątanie to pewny zarobek. Próbowałam też dorabiać na występach w polskich hotelach, bo gram na klarnecie. Ale to niepewna robota, a oczekiwanie zleceniodawców jest takie, żeby najlepiej grać za darmo. To już wolę założyć rękawiczki, zakasać rękawy i przejechać ścierką po pokoju hotelowym. Dostają 12 euro za godzinę, a sprzątać mi łatwiej niż we własnym domu: nie ma tych wszystkich gadżetów do przestawiania, bibelotów. Jeden pokój sprząta się tak samo jak wszystkie inne, a głowa może być wtedy daleko. Gdy teraz o tym myślę, to mam wrażenie, że to bardziej odpoczynek niż prawdziwa praca. Chociaż kiedy wsiałam w samochód i z powrotem przekraczam granicę, to po dojechaniu do domu czuję ręce, nogi, plecy. Do tego cały czas gdzieś pod skórą mam stres, że spotkam w tym hotelu ucznia lub rodzica. Teoretycznie bogatsi rodzice mogą tam zabrać dzieciaki na wakacje. Nie mogę się tego lęku pozbyć. Niby wiem, że żadna praca nie jest powodem do wstydu. Ale dyskomfort czuję. Raz miałam taką sytuację, że po wyjściu z hotelu, z całym tym sprzętem do sprzątanii w wiaderku, zobaczyłam na ulicy ojca jednego z moich uczniów. Nasze spojrzenia się przecięły. Nie pomachałam mu, on mi też nie. Chyba też był w pracy, bo nie wyglądał na człowieka, który przyjechał tam na urlop. Może też sprzątał? Szybko się zmył i miałam wrażenie, że jest bardziej zakłopotany niż ja.

Mąż pracuje w branży hotelarskiej w Polsce, ale nie zarabia kokosów. Mamy ratę kredytu 1400 złotych za dom. Niby niedużo, ale w ostatnich latach dwóch naszych synów pojechało na studia do Wrocławia. To znaczy jeden pojechał, a drugi wła-

śnie zdał maturę i za chwilę wyfrunie z gniazda. Ja uważam, że jeśli dziecko chce się uczyć, to obowiązek jego utrzymania spoczywa na rodzicach. Ciuchy, piwo, rozrywki – niech zarobi na to sam. Ale póki do wynajęcia, rachunki i jedzenie to moja i męża odpowiedzialność. Stąd decyzja o dorabianiu, którą podjęłam trzy lata temu. Nie musiałam długo szukać, koleżanka, też nauczycielka, mnie namówiła.

Zatrudnia nas agencja prowadzona przez Polki. W pracy nie widziałam innych nauczycielek, ale wiem, że są. Z naszego miasta bardzo dużo ludzi jeździ tam, żeby dorabiać. Wymagana jest dyspozycyjność w ciągu całego sezonu, czyli od maja do października. W roku szkolnym jeżdżę tylko na weekendy, a w lipcu i sierpniu także na trzy dni w tygodniu. Tak będzie aż do końca studiów naszych synów – więc z pięć lat jeszcze pojeżdżę.

Mąż też dorabia w Niemczech. Wyjazdów wakacyjnych nie planujemy. Jest, jak jest. Dobrze chociaż jest to, że zmęczenie po tej robocie mija szybciej niż po lekcjach w szkole. Wystarczy się położyć, rozprostować nogi, rozciągnąć kręgosłup – i już człowiek jest jak nowy.

CZEGO NAUCZYŁA SIĘ HANNA?

• Każdy ból da się wytrzymać

– Jestem z wykształcenia biologiem, ukończyłam też edukację wczesnoszkolną i przedszkolną, a także edukację dla bezpieczeństwa. Mam 57 lat, jestem nauczycielką dyplomowaną z 36-letnim stażem pracy. Ale w lipcu i sierpniu jestem Kopcuszkami. Przez cały sezon pracuję na kuchni, żeby się odkuć.

Policzmy: uczyć przyrody w klasach czwartych i edukacji dla bezpieczeństwa w klasach ósmych. Przy tablicy spędzam 27 godzin w tygodniu. Do tego oczywiście przygotowania i sprawdzanie prac w domu. Opiekuję się też samorządem szkolnym i jestem rzeczniczką praw ucznia. Po odjęciu około 500 złotych rat – bo wzięłam pożyczkę z kasy zapomo-

ANNA
KIEDRZYNEK



gowej na remont domu – dostaję na rękę trzy i pół tysiąca złotych miesięcznie. Na dojazdy do szkoły z mojej miejscowości wydaję 800 złotych, bo takie są teraz koszty benzyny. W pracy siedzę długo z racji dodatkowych zobowiązań. Jestem dla tych dzieci od siódmej do siedemnastej. Na szczęście moje własne są już dorosłe. Mogłabym się tak nie poświęcać, w końcu mam swoje lata, ale co tu dużo mówić – ja tę robotę po prostu uwielbiam. W zespole szkół, gdzie pracuję, jest dużo dzieci trudnych, najczęściej z rodzin alkoholowych. Tym większą mam satysfakcję, gdy uda się je przeprowadzić do następnej klasy. To są takie światelka: nastolatki, które kiedyś przychodziły pijane do szkoły, idą potem dumnie po świadectwo ukończenia ósmej klasy. I ja wiem, że to także dzięki mnie, bo zamiast na nich krzyczeć, siadałam i pytałam: „Co się dzieje? Jak mogę cię wesprzeć?”. A one się przede mną otwierały. Większości da się pomóc, trzeba ich tylko wysłuchać.

Kredytu nie mam, ale mam długi po byłym mężu, alkoholiku. On już nie żyje, a ja muszę to wszystko spłacić. Komornik od razu mnie znalazł, kobieta zatrudniona w budżetówce, w tej samej szkole od lat, nigdzie się przed nim nie ukryje. To było 10 lat temu. Wtedy jeszcze z córką, która była nastolatką, zatrudniliśmy się w barze. Ja nalewałam piwo. Tam zauważył mnie mój obecny szef i spytał, czy nie poszłabym na kuchnię, do knajpy z domowym jedzeniem. Zgodziłam się. I to tam od 10 lat spędzam każde wakacje. Kroję warzywa, kielbasę, obieram ziemniaki, mieszam zupy, kręcę kluski. Ja, dwie kucharki z mojej szkoły, matematyczka i wuefistka. Ta ostatnia radzi sobie najlepiej, bo to jednak ciężka, fizyczna robota. Wszystkie mamy powyżej 50 lat. Może dlatego klienci tak lubią to nasze jedzenie. Bo gotujemy jak ich mamy albo babcie.

W knajpie muszę być na 9, ale wstaję o szóstej. Jadę do dyskontu, biorę sto bułek, 32 chleby, 50 kg kielbasy w opakowaniach po dwa pęta, po drodze zgarniam cztery koleżanki i jedziemy. Na miejscu nie tylko pomagam w gotowaniu, ale też obsługuję kasę. W dni powszednie wychodzę o 19, choć zdarza się i o 22. W weekendy są na szczęście dwie zmiany i wtedy kończę pracę koło szóstej. Wsiadam w samochód, rozwożę dziewczyny i dopiero wtedy wracam do domu. Po drodze bólu nie czuję, on się pojawia dopiero, jak wysiądę z samochodu. Czasem trudno mi ustać na nogach. Cały czas łykam jakieś tabletki. Podobno kiedyś przychodzi taki moment, że człowiek już nie wstanie. Na szczęście ciągle jestem na chodzie. Ale boję się, że kiedyś siądzie mi kregosłup. Może dlatego przez ostatnie 10 lat powtarzam dzieciom: uczcie się, bo nawet gdy będziecie chorzy, to przy biurku wytrzymacie jakoś cały dzień. W pracy fizycznej to jest konieczne. Jest ból, nie ma pracy i nie ma zarobku. Dlatego trzeba się kształcić. Córka skończyła ratownictwo medyczne. Syn jest niepełnosprawny, na rencie, ale mieszka samodzielnie i też jakoś sobie radzi.

Mam z tej dodatkowej pracy 4200 zł na rękę miesięcznie. Dlatego jestem taka zdeterminowana. Ja po prostu tej pracy potrzebuję. Nie odkładam z tego, nie mam na żadne przyjemności, wszystko idzie na bieżące wydatki oraz spłatę długów. To jest bardzo ciężka praca, ale godziwie wynagradzana. Szef gotuje razem z nami, atmosfera jest dobra, a pieniądze wypłacane co tydzień w niedzielę. Wszystko jest jasne i uczciwe. On zresztą widzi, że nam, starszym paniom, gotowanie i stanie przy kasie daje w kość. Dlatego obiecał nam podwyżkę z 17 do 20 złotych na godzinę. W szkole już żadnej podwyżki nie dostanę, jestem dyplomowana i to koniec.

Czasem, jak stoję na kasie, to spotykam moich uczniów. Dziwią się, jak mnie widzą, i wołają: „O, pani Hania, co pani tu robi?”. Na wesoło to rozgrywam. Odpowiadam: „No patrzcie, tutaj jestem Kopciuszkiem”. Nie wstydzę się tego, że dorabiam. W szkole nie wracamy do tego tematu, nikt mnie o to później nie pyta. Jak zaczynałam pracę w barze, to od razu wiedziałam, że takie sytuacje są nieuniknione. To jest popularne miejsce, wszyscy w okolicy je znają. Nie czuję wstydu. Większy stres mam w szkole, bo tam nauczyciele są jak takie ściereczki. Wszyscy nami wycierają, a zwłaszcza rodzice. „Do kuratorium pójde, skargę napiszę”, krzyczą. Jak jestem na kuchni, to nikt się tak do mnie nie zwraca.

CZEGO NAUCZYŁA SIĘ KATARZYNA?

• **Lęk przed spotkaniem ucznia w sklepie nie mija**

– Przez siedem lat pracowałam w sklepie. Także w ciągu roku szkolnego musiałam łączyć szkołę

z siedzeniem na kasie. W pierwszym sklepie dostałam pół etatu i 1800 złotych na rękę. Mój kolega, kierownik w jednym z marketów, zaproponował drugie pół etatu. Lepiej płatne. Nie wahałam się ani przez moment. Był tak miły, że dopasował mój grafik do pracy w szkole. W dni powszednie po 14 wsiadałam w tramwaj i jechałam do marketu. Kończyłam o 22, po jedenastej byłam w domu. W weekendy przygotowywałam się do lekcji i sprawdzałam wypracowania. Uczę polskiego.

Chciałam być lekarzem, ale polonista w gimnazjum zaraził mnie pasją do języka. Też chciałam uczyć z pasją. Największą satysfakcję miałam, gdy spotkałam go na praktykach w szkole. Obserwował moją lekcję. Podeszedł do mnie i mi pogratulował. Powiedział, że mam do tego dryg. Byłam przeschęśliwa.

Pierwszą pracę w sklepie zaczęłam jeszcze na studiach. Mieszkałam wtedy w Gdańsku, tam też był sklep, szkoła była w Malborku. Męczyły mnie dojazdy, ale przynajmniej nie musiałam bać się tego, że spotkam ucznia robiącego zakupy. Spotykałam za to wykładowców z Uniwersytetu Gdańskiego. Kiwali smutno głową na mój widok: „Marnujesz się”. Ja nie miałam takiego poczucia. Chciałam pracować w szkole, ale potrzebowałam pieniędzy. Od rodziny nie chciałam pomocy. Uznałam, że skoro podjęłam decyzję o studiach, to muszę radzić sobie sama. Po roku dostałam propozycję pracy w wygaszanym gimnazjum w Gdańsku. Szkoła i sklep są blisko siebie, więc zniknął problem ciągłych dojazdów.

Na początku inni pracownicy dogryzali mi. „O, pani magister, po co się tyle uczylaś, jak teraz na kasie siedzisz”. Staralam się nie reagować na zaczepki. „Uczyłam się dla siebie – odpowiadałam. – A do tego potrafię pracować równie ciężko jak wy, nie wywyższam się”. Gdy było trzeba, wykladałam towar na półki i nie marudziłam. Stresowałam się tylko jednym – że w końcu do sklepu wejdzie któryś z moich uczniów. I tak się oczywiście stało. Zachowałam wtedy zimną krew. Kiedy ten chłopak podeszedł do kasy i spytał: „Co pani tu robi?”, powiedziałam szczerze: „Jestem tu z powodów finansowych”. Przyjął to do wiadomości, zapłacił i wyszedł. Takich sytuacji było jeszcze kilka. Nikt się ze mnie nie wyśmiewał. Gorsze były reakcje najbliższej rodziny – nie z powodu pracy w sklepie, ale zarobków w szkole. Ciocia, która też pracuje na kasie w dyskoncie, śmiała się: „Chyba żartujesz? To ja zarabiam więcej na rękę”. Cała moja rodzina pracuje w handlu, większość na niskich stanowiskach, nie mają studiów. Długo zarabiali więcej niż ja w szkole.

Dzięki dorabianiu w sklepie kupiłam na kredyt mieszkanie w Tczewie. Ale ten stres, że spotkam uczniów, nigdy nie zniknął. Radziłam sobie ze zmęczeniem, urażoną dumą, brakiem czasu – tylko nie z tym lękiem. To nie był wstyd, raczej takie poczucie, że to, co wpajam dzieciom na lekcjach, kłóci się z moim własnym życiem. Bo mówię im, że nauka jest ważna, a z drugiej strony pokazuję, że ona nie popłaca.

Teraz mam już dwa etaty, oba w prywatnych szkołach. Spędzam przy tablicy 42 godziny w tygodniu. Ale w wakacje nie odpoczywam. Udzielam korepetycji, głównie ósmoklasistom i maturzystom, czasem tym, którzy mają poprawkę we wrześniu. Biorę mało, tylko 60 złotych za godzinę. Każdemu jest teraz ciężko, więc nie podnoszę stawek. W porównaniu z dorabianiem na kasie to i tak sytuacja luksusowa.

*Stres, że na tej kasie
w sklepie spotkam ucznia,
nigdy nie minął.
Bo mówię im, że nauka jest
ważna, a okazuje się,
że ona nie popłaca*

CZEGO NAUCZYŁA SIĘ IWONA?

• **Nigdy nie wiesz, kiedy przyda się umiejętność jazdy ciągnikiem**

– Uczę polskiego od siedmiu lat, jestem w trakcie dyplomowania, daję korki, przygotowuję do egzaminów. Mam z tego na rękę niecałe trzy tysiące złotych. Jeśli wezmę nadgodziny, a to nie zawsze jest możliwe, wyciągam cztery tysiące. Żeby dorobić: karmiłam bydło, wywoziłam siano z pól, zbierałam wiśnie, robiłam koleżankom paznokcie i farbowałam włosy. W te wakacje leczę się na depresję, więc nie mam na nic siły. Czasem tylko sprzątam znajomym mieszkania albo opiekuję się ich psami, gdy wyjeżdżają.

Rok temu w lipcu i sierpniu wstawiałam przed szóstą i szłam do obory. Zaczynałam od sprzątnia koryt. Po drodze przystawałam, głaskałam krowy, mówiłam do nich. Potem rozlewałam im wodę z wiader, a gdy skończyłam, dawałam tzw. posypkę, czyli witaminy. Potem dopiero paszę, a na końcu siano. Przy stu krowach cały proces zajmował trzy godziny. Powtarzałam go wieczorem. Za karmienie i sprzątnie przy krowach dostawałam za godzinę mniej więcej tyle samo, ile za prowadzenie lekcji w szkole – około 20 złotych na rękę. Na czarno, bez umowy. To była praca po znajomości. Spotykałam się wtedy z facetem, który pochodził ze wsi. Zabrał mnie ze sobą na gospodarstwo na wakacje. Miałam pomagać jego rodzinie za darmo, ale gdy miejscowi zobaczyli, jaka jestem obrotna, zaczęli pytać, czy nie popracuję u nich za pieniądze. Jeden zaproponował właśnie pracę przy krowach.

Inny gospodarz żartem spytał, czy ciągnikiem też pokieruję. Zdziwił się, gdy powiedziałam, że tak. Wujek mnie tego nauczył, bo kiedy byłam nastolatką, większość wakacji spędzałam u rodziny na wsi. Gospodarz dał mi proste zadanie: jeździłam wzdłuż pola i zbierałam siano, które inni pracownicy wrzucali do tzw. wanien. Potem zawoziłam to siano do gospodarstw i zrzucałam. Placili mi 35 zł za godzinę. W ciągu dnia potrafiłam zarobić 250 złotych. Furorę robiłam na tej wsi. Wszyscy chcieli oglądać miastową, która umie trzymać widły, pracując przy krowach i jeździ traktorem. Sypało się więcej propozycji: przycinanie krzewów, zbieranie wiśni. Brałam wszystko jak leci. Były momenty, gdy podobało mi się to bardziej niż praca w szkole.

Zostałam nauczycielką w wieku 30 lat. Wcześniej pracowałam w wydawnictwie, robiłam korekty, składałam czasopisma, organizowałam konferencje. Moja córka miała osiem lat, kiedy zobaczyłam w okolicy ogłoszenie: szkoła podstawowa poszukuje nauczycielki na zastępstwo. Zgłosiłam się, bo jestem po polonistyce. Wcześniej marzyłam, żeby pracować na uczelni. To się nie udało, więc uznałam, że szkoła mi to zastąpi. Tak rzeczywiście było, bo nauczanie innych mnie uskrzydliło. Do tego etat w szkole był wygodnym rozwiązaniem przy dziecku. Byłam już wtedy po rozwodzie.

Gdy skończyło się zastępstwo, poszłam pracować do podstawówki jeszcze bliżej domu. Podobało mi się tam, choć nie zarabiałam dużo. Potem, gdy zaczęła rosnąć inflacja, tych pieniędzy zostawało coraz mniej. Atmosfera w szkole gęstniała. Koleżanki odchodziły albo brały urlopy dla poratowania zdrowia. Jedna poszła pracować na kasie w sklepie.

Ten ostatni rok był najgorszy, także z powodu zachowania rodziców. Są natarczywi, roszczeniowi, nie przyjmują do wiadomości ocen niższych niż piątka. Uczniowie, którzy znają nasze pensje, bo są przecież jawne, potrafią śmiać się nam prosto w twarz. Mówią: „Połowę pani pensji dostaję od rodziców jako kieszonkowe”. Szczyt upokorzenia poczułam jednak wtedy, gdy dyrektorka ogłosiła, że szkoły nie stać na naprawę maszyny do ksero. Mamy radzić sobie sami. Rodzice zrobili wtedy zbiórkę na papier i tusz, żebym nie musiała płacić z własnych pieniędzy.

Przed wakacjami właściciel mieszkania, które wynajmuję, podniósł opłatę za wynajem z 2000 do 2300 złotych. Musiałam spakować siebie i dziecko i wprowadzić się do mieszkania mojej mamy.

Z tamtym facetem od krów już się nie spotykam. Powinnam w wakacje dorabiać, ale muszę się najpierw podnieść po tym wszystkim psychicznie. W najbliższym roku szkolnym podejmę decyzję: odejść z zawodu czy w nim zostać.

Decyzja o odejściu, biorąc pod uwagę aspekt finansowy, powinna być prosta. Ale jak patrzę na obraz z podpisem „najlepsza nauczycielka na świecie”, który dostałam kiedyś od dzieciaków, to nagle ona się bardzo komplikuje. ●

FOT. KASIA TROJAK

Neuroatypowi idą do pracy



Razem JESTEŚMY DZIWNÍ

Kasia Modlińska: filozofka, psycholożka, absolwentka studiów psychoanalitycznych w Tavistock and Portman w Londynie i Brytyjskim Towarzystwie Psychoanalitycznym. Inicjator i współautorka studiów nt. zarządzania potencjałem osób neuro różnorodnych w miejscu pracy na Uniwersytecie SWPS. Założycielka i prezeska Atypiki – Fundacji dla Neurokultury.

Michał Tomczak: socjolog, doktor nauk społecznych. Od 2007 roku pracownik Wydziału Zarządzania i Ekonomii na Politechnice Gdańskiej, zajmuje się zarządzaniem zasobami ludzkimi. Współpracownik Atypiki. Współautor studiów neuro różnorodność w miejscu pracy.

Dolina Krzemowa już doceniła korzyści z pracowników neuroatypowych. Bo osoby autystyczne popełniają nawet dziesięciokrotnie mniej błędów. A osoby z ADHD świetnie odnajdują się w nieprzewidywalnych warunkach...

Z **KATARZYNA MODLIŃSKĄ** | **MICHAŁEM TOMCZAKIEM**, TWÓRCAMI STUDIÓW O NEURORÓŻNORODNOŚCI NA SWPS, ROZMAWIA **TOMASZ KWAŚNIEWSKI**

Stworzyliście pierwszy w Polsce...

KASIA MODLIŃSKA: Pierwszy na świecie...

...kierunek studiów poświęcony neuroroznorodności.

MICHAŁ TOMCZAK: Tak, inauguracja na Uniwersytecie SWPS odbyła się w październiku 2022 roku.

K.M.: Dokładna nazwa: neuroroznorodność w miejscu pracy – inkluzywna rekrutacja i zarządzanie.

M.T.: Są to roczne studia podyplomowe.

K.M.: Dotyczy tego, w jaki sposób tworzyć w organizacjach kulturę włączającą osoby neuroatypowe. Czyli takie, które w naszej kulturze nie wpisują się w powszechnie uznawane standardy normalności. Najczęściej osoby te otrzymują diagnozy psychiatryczne, takie jak: spektrum autyzmu, ADHD, dysleksja, dyspraksja, zespół Tourette'a, w których podkreśla się głównie ich deficyty. System społeczny jest dla takich osób nieprzychylny – wyklucza je właściwie na każdym etapie funkcjonowania. Już w przedszkolu karci się dzieci za to, że mają za dużo energii, nie leżakują, są niejadkami. Podobne mechanizmy można spotkać w szkole podstawowej. Systemowo wymagania są bardzo konkretnie zaprojektowane pod określony typ jednostki. Osoby, które odstają od tej normy, mają problem: na przykład dyslektycy muszą uczyć się bezbłędnie czytać, mimo że mają zdolności w zupełnie innych obszarach, jak na przykład wyobraźnia przestrzenna, ale na rozwój tych ich zdolności system edukacyjny nie kładzie nacisku.

Jak więc taka osoba przejdzie przez przedszkole, podstawówkę, liceum, studia...

K.M.: I przeżyje...

M.T.: To kolejną barierą, jaką napotka, będzie rekrutacja do pracy.

Kasia używa terminu „neuroatypowi”, ty, Michał – „neuroróżnorodni”. Dlaczego wybieracie różne określenia?

K.M.: Mówię o osobach, że są neuroatypowe, a nie neuroróżnorodne, bo osoba nie może różnić się sama od siebie. To grupa może być wewnętrznie zróżnicowana, neuroróżnorodna.

M.T.: Niemniej w dyskursie publicznym i w nauce mówi się o „osobach neuroróżnorodnych”.

K.M.: Sens pojęcia „neuroróżnorodność” dotyczy naturalnego zróżnicowania ludzkich umysłów, co m.in. ma swoje odzwierciedlenie w naszym układzie nerwowym. Opisuje stan faktyczny, podobnie jak bioróżnorodność. Jest pojęciem neutralnym, nie wartościującym.

M.T.: Czyli nie mówi się tu o normalności, dysfunkcjach, chorobach itd.

A skąd to pojęcie w ogóle się wzięło, od kiedy, zamiast mówić o spektrum autyzmu, ADHD itd., myślimy o „neuroróżnorodności”?

M.T.: Jako pierwsza tego terminu użyła Judy Singer, australijska socjolożka, pod koniec lat 90. ubiegłego wieku, właśnie w kontekście autyzmu. Ona jest taką, można powiedzieć, guru neuroroznorodności.

K.M.: Ważne, że nie jest to pojęcie z zakresu medycyny, ale socjologii. Singer miała na celu nazwanie kolejnych dyskryminowanych mniejszości, tzw. neuromniejści, i w rezultacie zapoczątkowała nowy ruch wolnościowy. Bo tak naprawdę sens neuroroznorodności sprowadza się do aktywizmu na jej rzecz...

To znaczy?

K.M.: Neuroroznorodność opisuje fakt, że się różnimy. Ale to widzi każdy. Natomiast to pojęcie przyjęło postać ruchu społecznego na rzecz włączania do społeczeństwa osób, które myślą, czują, funkcjonują inaczej, niż standardowo postrzega się to jako normalne. Dla Singer to była przede wszystkim nowa polityczna kategoria – podobnie jak klasowość, rasa

czy płeć – mająca na celu znoszenie nierówności społecznych.

Ty jesteś neuroatypowa?

K.M.: Raczej opisuję się poprzez cechy, zachowania...

To znaczy?

K.M.: Teraz akurat przychodzi mi do głowy, że lubię się śmiać, mam dużo pomysłów, wierzę w pewne ideały, ale też łatwo się rozkojarzam. Na przykład wczoraj zostawiłam przy kasie w supermarkecie dużą, różową torbę z rzeczami na siłownię, zorientowałam się dopiero w domu. Jak potem po nią wróciłam, to pani przy kasie patrzyła na mnie bardzo podejrzliwie.

Czyli nie myślisz o sobie...

K.M.: Myślę o sobie, że jestem dość specyficzna.

Nie chcesz wobec siebie używać tego terminu czy o co chodzi?

K.M.: Mam problem z jednoznacznymi definicjami, w wyniku których mogą tworzyć się podziały, które nie są dla mnie oczywiste.

A te podziały?

K.M.: No właśnie na osoby neurotypowe i neuroatypowe – gdzie tu jest granica, nie do końca już wiadomo. Dodatkowo może to powodować antagonizmy. Niemniej jest to pojęcie społecznie niezwykle dziś użyteczne, ponieważ wprowadza zróżnicowane myślenie, wiele osób może się z nim zidentyfikować, zrozumieć siebie oraz rzeczywistość społeczną.

A na końcu, jak się domyślam, chodzi o to, byśmy zrozumieli, że wszyscy jesteśmy neuroatypowi?

K.M.: Że wszyscy jesteśmy w jakiś sposób wyjątkowi i ważne jest, żebyśmy potrafili tę wyjątkowość nazwać i rozumieć. W indywidualny dla siebie sposób.

A ty, Michał, uważasz, że jesteś neuroatypowy?

M.T.: Mnie się zdaje, że akurat jestem neurotypowy. Z tym że tak jak każda osoba mam też jakieś cechy osób atypowych. Bo to jest pewne continuum – tak jak mówimy o spektrum zaburzeń autystycznych, że to jest pewne spektrum cech, które ktoś posiada w większym bądź mniejszym natężeniu. Natomiast jeśli chodzi o neuroróżnorodność, to mnie też się w tym podoba to, że pokazujemy, że jesteśmy różni.

Kiedyś, dawno temu, jak ktoś był leworęczny, to szkoła go na siłę transformowała w praworęcznego. Dziesięć lat temu, jak ktoś nie mógł wytrzymać na lekcji, to miał łatkę niegrzecznego i pałę ze sprawowania, a dziś może mieć orzeczenie o ADHD – im więcej o tym mówimy, tym po prostu bardziej to oswajamy. Ja się zajmuję zarządzaniem zasobami ludzkimi, czyli patrzę na to z perspektywy organizacji, i tak jak niedawno na topie było zarządzanie wiekiem, kwestie płci, LGBTQ+, tak teraz zyskuje na popularności podejście pod kątem neuroróżnorodności. Czego istotą jest właśnie to, aby uświadamiać społeczeństwo, organizacje, że każdy z nas ma inne style kognitywne.

A po ludzku?

M.T.: W różny sposób postrzegamy świat.

K.M.: Singer pisała: „Neuroróżnorodność podważa kolejne brane za pewnik założenie, tzn. to, że wszyscy, w mniejszym lub większym stopniu, widzimy, czujemy, doświadczamy dotyku i zapachów oraz przetwarzamy informacje w podobny sposób”.

M.T.: Dlatego nie wartościujemy. Nikt nie jest lepszy, gorszy. Chodzi o to, żeby się otworzyć na różnorodność ludzi i czerpać z niej korzyści.

W którym roku założyłaś fundację a/typowi?

K.M.: W 2020 roku – i tu ważna informacja, ostatnio zmieniliśmy nazwę z a/typowi – Fundacja na rzecz Neuroróżnorodności na Atypika – Fundacja dla Neurokultury. Zlikwidowaliśmy symbolizujący podział społeczny ukośnik, bo zależy nam, aby wspierać wszystkich. Z kolei neurokultura oznacza, że chcemy działać w innych niż tylko miejsce pracy obszarach.

A wracając do twojego pytania, to założenie tej fundacji w jakimś sensie mnie uratowało, pozwoliło mi przetrwać.

A co się wydarzyło?

K.M.: To się działo już od długiego czasu, właściwie od początku mojej edukacji – poczucie, że z jednej strony jest ze mną coś nie tak, a z drugiej, że mam potencjał, tylko on nie jest dostrzegany i nie potrafię z niego skorzystać.

Na studiach zaczęłam się fascynować psychoanalizą, zaczęłam się szkolić w tym podejściu – w Warszawie, potem w Londynie. Jednocześnie w wieku 22 lat miałam pierwsze załamanie psychotyczne. Psychoza w ramach teorii, które wykładane są podczas standardowych szkoleń psychoanalitycznych, jest najcięższym przejawem zaburzenia, zerwaniem kontaktu z rzeczywistością. Z tego powodu, że ktoś jej doświadczył, można nie dostać się na szkolenie. Jednak ja zawsze miałam poczucie, że na tzw. doświadczenia psychotyczne składają się bardzo różne stany – m.in. dające też dostęp do innego rodzaju postrzegania, poszerzone świadomości. Przykładowo widzi się symbolami i te symbole łączą w spójny sposób różnorodne zjawiska...

Rozumiem, że w ramach tych swoich kryzysów łądowałaś w szpitalu psychiatrycznym?

K.M.: Też, np. w Londynie. I to była straszna trauma. Traumą było też dla mnie funkcjonowanie w środowisku, w którym musiałam ukrywać tak istotne doświadczenia, które mnie ukształtowały. Dlatego podjęłam decyzję, by zarzucić swoją psychoanalityczną ścieżkę zawodową. Zaczęłam planować pisanie doktoratu o stanach poszerzonej świadomości. Ale kilka miesięcy później znowu miałam załamanie. Kompletnie zawałiło mi się życie. Musiałam wrócić do Warszawy – zostawić londyńskie relacje, plany, instytucje, z którymi byłam związana. Byłam w głębokiej depresji. I wtedy moja mama wpadła na pomysł, żebym stworzyła fundację, a ja wymyśliłam jej sens.

I on jest jaki?

K.M.: Zawsze czułam, że te moje psychotyczne doświadczenia są sprowadzane tylko do czegoś chorego, że pozbawia się je wartości i że przez nie jestem pod różnymi względami wykluczana. Dlatego sensem fundacji uczyniłam walkę z tym, by nie nazywać chorobowymi stanów, które wcale takie nie są. A są tak określane, bo uznawana przez większość normalność pod wieloma względami jest ograniczonym i jednostronnym konstruktem społecznym.

Pamiętam, że usiadłam na kanapie i zobaczyłam taki napis: „(Nie)normalni. O potencjale osób poza normą psychiczną”.

A jak to się stało, Michał, że ty w tym jesteś?

M.T.: Moja historia nie jest tak ciekawa jak Kasi. W 2017 roku, czyli po dziesięciu latach pracy na uczelni, poszukiwałem ścieżki, która dałaby mi poczucie, że robię coś, co jest potrzebne komukolwiek. Bo wcześniej robiłem badania o zatrudnianiu, pomiar kompetencji pracowników itd., ale nie do końca było to dla mnie źródłem satysfakcji. Wtedy trochę przypadkowo koleżanka, pani profesor Małgorzata Szczerska z Politechniki Gdańskiej, ona jest optoelektronikiem...

Czyli?

M.T.: Zajmuje się czujnikami opartymi na światłowodach. Ubiegała się o grant z Narodowego Centrum

*System wyklucza od małego.
Ja na przykład byłam w pięciu
podstawówkach,
zdaniem nauczycieli rozwalalam
lekcje i buntowałam uczniów.
Naganne zachowanie towarzyszyło
mi nieustannie*

Badań i Rozwoju i zaprosiła mnie. Idea tego grantu była taka, aby dla szkoły specjalnej, w której uczyły się dzieci z zaburzeniami rozwojowymi, opracować system monitorowania i wczesnego wykrywania wzrostu poziomu stresu – to jest bardzo ważne, głównie z punktu widzenia ich bezpieczeństwa. I to się udało, powstała opaska na dłoń, która bazowała na pomiarze wieloczułnikowym: temperatura, puls i rezystancja skóry.

To był pierwszy raz, kiedy zetknąłem się przede wszystkim z autyzmem. I pomyślałem, że to bardzo ciekawy obszar, że wiele można by tu zdziałać. I to w odniesieniu do dzieci czy młodych dorosłych – a na te dwie grupy była nakierowana większość wysiłków naukowych – tylko tego, czym się zajmuję, czyli zarządzania zasobami ludzkimi. Okazało się, że w Polsce do tej pory nikt się tym nie zajmował.

A co chciałeś konkretnie zrobić?

M.T.: Zastanowiłem się, jak osobom neuroróżnorodnym – bo z czasem to pączkowało, od autyzmu, przez ADHD, dysleksję, dyspraksję itd. – umożliwić, po pierwsze, skuteczne znalezienie pracy, a po drugie, jej utrzymanie, wykorzystywanie w niej ich supermocy.

Supermocy?

M.T.: Na przykład tego, że taka osoba myśli w inny sposób niż cały zespół. Albo że jest w stanie skoncentrować się na szczegółach. Mówię tu o tych najbardziej stereotypowych supermocy.

To wymienimy ich więcej.

M.T.: Wiele osób autystycznych świetnie się sprawdza jako testerzy oprogramowania, są dane, że w obrębie pewnych zadań popelniają nawet dziesięciokrotnie mniej błędów niż neurotypowi pracownicy.

K.M.: Osoby z ADHD potrafią świetnie odnajdywać się w nieprzewidywalnych warunkach. Osoby z synestezją, ja mam synestezję...

A co to takiego?

K.M.: Doświadczam różnymi zmysłami bodźców, których zazwyczaj doświadczają się jednym – np. jak słucham muzyki, to też widzę abstrakcyjne obrazy, jak słucham historii, to jakbym widziała film. Każda litera ma dla mnie swój kolor. Każde słowo, które zaczyna się od tej litery, jest nią zabarwione. Przez co tak trudno mi jest zapamiętywać imiona. Bo „m” ma zawsze taki sam kolor, w związku z czym imiona Marcin i Michał są dla mnie zawsze granatowe.

A Tomek?

K.M.: „T” jest ciemnobrązowe.

Są też osoby, u których synestezja objawia się tak, że jak słyszą dźwięki, to one od razu układają im się w melodię.

I co dla ciebie jest tą korzyścią z synestezji?

K.M.: Na przykład to, że potrafię łączyć pewne oczywiste wątki. Widziałeś „Homeland”?

Taki serial?

K.M.: Tak. Claire Danes gra w nim agentkę CIA – Kocham ją w tym filmie. Ona ma zdiagnozowaną chorobę afektywną dwubiegunową. Z jej powodu doświadcza załamań w sensie chorobowym, ale z drugiej strony dostrzega wtedy zależności niewidoczne dla innych.

Problem w tym, że jak jej umysł zaczyna wchodzić na bardzo wysokie obroty, to nie potrafi go zatrzymać i popada w stan chaosu, czyli właśnie choroby.

Jakie jeszcze są te supermoce?

M.T.: W przypadku osób autystycznych: świetna pamięć, umiejętność analizy, przetwarzania dużych ilości danych. Jest wiele badań pokazujących, że istnieje związek między posiadaniem cech z zakresu ADHD a prowadzeniem działalności przedsiębiorczej...

K.M.: Po prostu takie osoby mają większą skłonność do podejmowania ryzyka.

M.T.: Steve Jobs, Mark Zuckerberg, Bill Gates, Richard Branson, o wszystkich mówi się, że są neuroróżnorodni. Ale też ponoć Mozart był neuroatypowy, spotkałem się również ze stwierdzeniem, że Sokrates – mówię to z uśmiechem, bo nie wiem...

K.M.: Kto go diagnozował?

M.T.: Właśnie, i na podstawie jakich kryteriów? Warto więc tu stawić pewne granice, żebyśmy nie popadali w śmieszność. Niemniej nawet jeśli nie wszyscy oni są czy byli neuroróżnorodni, to i tak dobrze, że o tym się mówi, bo w ten sposób osławiamy z tym społeczeństwo.

Ale czy jest jakieś kryterium, które wskazuje, że ktoś jest neurotypowy, a ktoś inny neuroatypowy?

Osób neuroatypowych jest nawet 20 proc.

w społeczeństwie

Ok. 10 proc. ma dysleksję,

4 proc. – ADHD, 2 proc. –

dyspraksję. Autyzm to od

1 do 2 proc. Zespół

Tourette'a – około 1 proc.

K.M.: Myślę, że definicja jest płynna, ale punktem odniesienia, który przyjęliśmy, jest to, że osoba neuroatypowa nie wpisuje się w społeczne wyobrażenia tego, co jest normalne, i z tego powodu jest społecznie wykluczana.

Czyli jeżeli ktoś ma poczucie, że zachowuje się inaczej...

M.T.: Tak, samoidentyfikacja jest wystarczająca. Nie trzeba mieć tu orzeczenia z poradni.

Wróćmy do supermocy.

K.M.: Zapamiętywanie ogromnej liczby faktów...

M.T.: Dokładność, rzetelność, wręcz drobiazgowość, co w pewnych przestrzeniach jest bardzo cenne, ale też stanowi wyzwanie. Bo my nie używamy słowa „trudności”, wolimy „wyzwania”...

To znaczy?

M.T.: Na przykład ktoś jest superdokładny i to jest jego atut. Ale też w związku z tym, że nadmiernie skupia się na zadaniu, grzeźnie w nim, nie widzi szerszej perspektywy. I tu jest rola organizacji pracy czy np. technicznych rozwiązań typu elektroniczny planer, który umożliwi wykorzystanie tej supermocy i jednocześnie zapobiegnie grzeźnięciu.

Kasia, nim włączyłem dyktafon, zapytałem cię o wykształcenie, powiedziałaś, że w ogóle nie wierzyłaś, że uda ci się zdobyć jakiegokolwiek, bo nie ma szans, żebyś dostała się na studia.

K.M.: No tak, bo ja nie do końca odnajdywałam się w szkole i liceum, m.in. zostałam wyrzucona z podstawówki za złe zachowanie...

W której klasie?

K.M.: W szóstej. Nauczyciele mieli ze mną problem, bo ich zdaniem rozwalalam im lekcje i buntowałam przeciwko nim uczniom. Często wszczy- nałam dyskusje, ku ucieście kolegów i koleżanek z klasy, którzy mieli przez to zapewnioną rozrywkę. Pamiętam jedną z nich. Jestem w szóstej klasie i polonista mówi, że Erich van Däniken – autor koncepcji wpływu istot pozaziemskich na naszą planetę – pisał swoje książki tylko dla pieniędzy. Na co ja: „No nie wiem, a może on w to wierzył?”. Polonista: „Nie! To wszystko było tylko dla pieniędzy!”. Ja: „A jak pan to sprawdził?”. I nauczyciel, zamiast uznać, że to jego hipoteza, szedł w zaparte, nie był w stanie odpuścić.

Podobnie jak ty.

K.M.: No tak, tylko ja miałam 13 lat i byłam w sumie dość ubawiona tą wymianą zdań. W pewnym momencie nonszalancko wyjęłam kanapkę i zaczęłam sobie podjadać, a wtedy on tak spojrział na mnie i mówi: „Jezu, Modlińska, ale ty obrzydliwie jesz!”. Z kolei nauczyciel filozofii w liceum...

Dokończmy kwestię wyrzucenia cię z podstawówki.

K.M.: Potem poszłam do kolejnej...

Byłaś w sumie w trzech podstawówkach?

K.M.: W pięciu. Moje problemy zaczęły się wcześniej. W trzeciej klasie moja wychowawczyni powiedziała mi, że przeze mnie chodzi do psychologa – właściwie wyszeptala mi to do ucha. Ale

miałam też dobre doświadczenia. Najlepiej pamiętam to, kiedy w ósmej klasie, w nowej szkole – po tym jak zostałam wyrzucona z poprzedniej – polonista wybrał moje wypracowanie na temat „Pana Tadeusza”, bo ocenił je najwyżej, i zaczął czytać jego fragmenty.

I co?

K.M.: No, nigdy wcześniej to mi się nie zdarzyło w szkole. I też pamiętam, jak później powiedział mojej mamie, że w tej mojej głowie coś jest, nie wie jeszcze co, ale coś wartościowego. Trudno mi było w to uwierzyć.

W co?

K.M.: Że traktuje mnie poważnie, że moje słowa mają dla niego sens, są ciekawe i stara się je zrozumieć. Przedtem zawsze byłam tą złą, rozwydrzoną, rozpuszczoną, przed którą trzeba chronić inne dzieci.

A rodzice co na to?

K.M.: Myślę, że mama nie miała łatwo.

Ale co ci mówiła, bo tak generalnie to chyba wymagałaś wsparcia?

K.M.: Tak, i znalazła dla mnie psychologa.

Wydaje mi się, że mamie było bardzo trudno, bo to też była nagonka na nią.

Interesuje mnie twoja perspektywa.

K.M.: Pamiętam, że zawsze czekałam, aż mama wróci z wywiadówki i powie o mnie coś dobrego.

I?

K.M.: I zazwyczaj rzeczywiście zdarzało się, że mówiła, że jakiś nauczyciel powiedział jej, że jestem dobra z tego i owego. Ale naganne zachowanie towarzyszyło mi nieustannie.

Z kolei mój tata wierzył we mnie wbrew wszystkim i wszystkiemu. Nawet jak dostawałam trójki, to mówił, że jestem Curie-Skłodowska i dostanę Nobla.

I później była ta matura z filozofii...

K.M.: No właśnie. I tu szczególnie silne emocje wywołała koncepcja łaski św. Augustyna. Znalazłam u Władysława Tatarkiewicza inną interpretację tej koncepcji niż ta, którą podał nauczyciel. No i podobnie jak z polonistą doszło do wymiany zdań, gdzie nie można było wskazać, która z interpretacji jest właściwa, przy czym oczywiście obstawałam. W pewnym momencie nauczyciel, cały czerwony ze złości, podszedł do mojej ławki i powiedział: „Modlińska, ja wiem dokładnie, czego ty nie wiesz z filozofii i ja cię obleję na tej maturze”. Wtedy zaczęły mi się problemy ze snem, które do tej pory mi towarzyszą.

Ostatecznie zdałam tę maturę z wyróżnieniem.

I później myślałaś, że się nie dostaniesz na studia?

K.M.: Nawet nie próbowałam zdawać na uniwersytet.

A zdarzyło ci się myśleć: „Kurde, ja chyba jestem jakaś inna...”

K.M.: Ja już od przedszkola tak o sobie myślałam.

Że jesteś fiśnięta?

K.M.: Między innymi.

A ty, Michał, jak mówisz, że jesteś neurotypowy, to co masz w sumie na myśli?

M.T.: Jak słucham Kasi, to jej historia jest znacznie ciekawsza od mojej. Bo ja to byłam takim uczniem, który zawsze ma wszystkie zadania odrobione. Pamiętam nawet, jak kiedyś pani w podstawówce wyczytała na apelu, że nie opuściłem żadnej lekcji przez cały rok.

Może więc jednak nie jesteś całkiem neurotypowy?

M.T.: Ja zawsze miałem taką potrzebę, i to jest jakimś moim przekleństwem, że muszę coś zrobić. Potrafię się obudzić w niedzielę o szóstej, jeszcze jak moja rodzina śpi, i robię coś do pracy, bo mam poczucie, że jak nie zrobię tego teraz, to będę miał kolejną rzecz niezrobioną i będę cierpiał – może moje życie byłoby łatwiejsze, gdybym nie brał tyle na siebie, potrafił czegoś tam nie zrobić.

Powiedziałaś wcześniej, że zająłeś się neuroróżnorodnością, bo chciałeś mieć poczucie, że to, co robisz, ma sens. I co konkretnie robisz?

M.T.: Na podstawie moich badań opracowałem zestaw praktyk z zakresu zarządzania zasobami ludzkimi, w tym propozycje technicznych rozwiązań, które wspomagają osoby neuroróżnorodne w przezwyciężaniu barier. Najprostsze, a to dlatego, że bezkosztowe, jest zmodyfikowanie procesu rekrutacyjnego. Bo taka stereotypowa osoba z autyzmem, nawet dzierząc

w ręce dyplom programisty, może mieć spore trudności na rozmowie kwalifikacyjnej. A to dlatego, że na przykład nie patrzy w oczy. Jak usłyszy pytanie: „Powiedz o swoich słabych i mocnych stronach”, to niewiele powie. Ale jak poprosimy: „Rozwiąż dany problem”, to często się okazuje, że robi to szybciej i lepiej niż ktoś, kto był pół godziny wcześniej, patrzył w oczy i świetnie o sobie opowiadał.

I na czym konkretnie miałyby polegać tu ta modyfikacja?

M.T.: Począwszy od samego ogłoszenia rekrutacyjnego, żeby było konkretne i na temat. Czyli żeby wskazać procedurę: jakie będą etapy, ile to będzie trwało. Poza za tym żeby nie było pikselozji, czyli jakichś tam krzyczących, kolorowych, rozjechanych czcionek, logotypów...

„Szukamy programisty...”

M.T.: Tak, i mamy takie a takie wymagania. Na przykład: praca jeden dzień w biurze, cztery dni zdalnie. Umiejętność obsługi – tu nazwa programu. Rekrutacja będzie trwała sześć tygodni, składała się z pięciu etapów. Pierwszy będzie polegał na rozmowie, drugi na pokazaniu umiejętności itd. Bo na przykład osoby w spektrum autyzmu czują się lepiej, jeśli wszystko, co je czeka, jest jasne. Do tego rekruterzy muszą wiedzieć, że osoby w spektrum autyzmu mogą być bardzo bezpośrednie, mogą powiedzieć coś prosto w oczy, bez tego filtra kulturowego.

A po rekrutacji?

M.T.: Jeśli chodzi już o późniejszą komunikację, ważne, żeby również mówić prosto i na temat: do zrobienia jest to i na kiedy. Nie owijać tego, nie komplikować. Warto również np. wiedzieć, że osoby w spektrum autyzmu źle znoszą nasiadówki w dużych grupach, nie wspominając już o small talku...

I to wszystko ma dotyczyć jedynie osób neuro różnorodnych czy obejmować wszystkich?

M.T.: Generalnie jestem zwolennikiem, aby te rozwiązania dotyczyły wszystkich pracowników, też dlatego, by nie stygmatyzować, nie dzielić. Bo na przykład dużym wyzwaniem dla osób neuro różnorodnych jest nadwrażliwość sensoryczna. Czyli jakieś pukanie, stukanie w biurze, nawet klawiatury, może spowodować, że taka osoba nie będzie w stanie wydajnie pracować. I tu dobrym rozwiązaniem byłaby precyzyjna informacja: kto chciałby pracować w słuchawkach z funkcją wyciszania hałasu, nie ma sprawy.

Na tej samej zasadzie dla osoby neuroatypowej może być problemem, że ma miejsce tyłem do drzwi albo koło kuchni, skąd dochodzą jakieś zapachy. I tak dalej.

Wydaje mi się, że dla większości osób neuroatypowych te rozwiązania również będą korzystne. Na przykład pokój wyciszenia, tzw. chill room.

Czyli idea jest taka, że jak pójdziemy za neuroatypowymi, to wszyscy na tym skorzystamy?

M.T.: Tak.

A to można też adaptować do szkół?

M.T.: Oczywiście. W szkole, w której realizowaliśmy grant dotyczący pomiaru stresu, był pokój wyciszenia, czyli specjalne pomieszczenie, w którym przestymulowany uczeń mógł odpocząć. Tam było m.in. łóżko wodne, delikatne, ledowe oświetlenie. Świetnie to było.

To była szkoła specjalna, a myśli pan, że w zwykłej też by to mogło być?

M.T.: Oczywiście, to tylko kwestia kosztów. W korporacjach tak zwane chill roomy są już w zasadzie normą. Z tym że osoby w spektrum autyzmu często mówią, że w ich firmie ten chill room to jest taki chat room, gdzie ludzie przychodzą i plotkują. A one by chciały się wyciszać.

Jakie jeszcze są ważne rzeczy w pracy?

M.T.: Na przykład przejście na to, żeby więcej komunikatów było przekazywanych w sposób niebezpośredni, niewerbalny. Czyli poprzez maile czy czaty. Dzięki czemu można potem do tego wrócić, odwołać się, to też jest zwykle bardziej precyzyjne...

Ja akurat nie znoszę tego typu komunikacji. Wolę buzia w buzię...

M.T.: Od razu to zauważyłem, jak do mnie zadzwoniłeś. Ale tego typu telefon do osoby w spektrum autyzmu mógłby spowodować u niej blokadę, niemożność dalszej komunikacji. Nie mówiąc już o tym, że ona w ogóle mogłaby nie odebrać telefonu z nieznanego numeru. Ewentualnie od razu poprosić o maila.

Ważnym elementem dla osób neuroatypowych jest też wspieranie w priorytetach. Czyli na przykład prosta aplikacja – jakaś checklista: przechodzę przez kolejne fazy zadania, ktoś, kto mnie nadzoruje, sprawdza, gdzie jestem, ja też widzę, gdzie jestem. Jeśli zrobiłem punkt pierwszy, to go odhaczam i idę do drugiego, widzę tę drogę, dokąd mam dojść.

O jak licznej grupie mówimy?

M.T.: Szacuje się, że osób neuroatypowych jest nawet 20 procent. Czyli co piąta osoba. W tym mniej więcej 10 procent to są osoby z dysleksją. Około 4 procent z ADHD. Około 2 procent z dyspraksją. Autyzm to jest od 1 do 2 procent. Zespół Tourette'a około 1 procent.

A co to jest ta dyspraksja?

M.T.: To są wyzwania związane z koordynacją ruchową. Dzieci z dyspraksją nazywane są niezgrabnymi.

I ta liczba osób neuroatypowych rośnie?

M.T.: Dlaczego w Polsce jest dużo niższy odsetek osób w spektrum autyzmu niż w USA? Na pewno jakaś tego część wynika z dostępności i dokładności diagnozy. Bo diagnostyka się udoskonala. Choć też są głosy, że współczesne środowisko – przestymulowanie, social media, utrudnienie relacji rówieśniczych – też temu w jakiś sposób sprzyja.

Kto z was wymyślił te studia?

K.M.: One były moim pomysłem.

Najpierw zastanawiałam się nad ideą fundacji, jak można zniwelować nierówności między tymi, którzy uzurpują sobie prawo do posiadania takich właściwości jak zdrowie psychiczne, dyktują, co pod tym względem jest normą, a tymi mniejszościami, które się w te standardy nie wpisują. Zastanawiałam się, jak to odwrócić. I ponieważ mam zaplecze psychoanalityczne, odniosłam procesy dziejące się w terapii pomiędzy dwojgiem ludzi do dwóch grup społecznych. Pierwszą grupę określiłam jako „typową”, a drugą jako „atypową”. I zrobiłam taki wykres, zobacz...

Musisz go opowiedzieć.

K.M.: Wzięłam dwa podstawowe procesy psychologiczne: projekcji i introjekcji. Projekcja polega na tym, że przypisujemy innym własne cechy, których w sobie nie dostrzegamy. Osoby, na które je projektujemy, te cechy introjektują, czyli identyfikują się z nimi...

Rzecz jasna nieświadomie.

K.M.: Tak jest. No i w tym wykresie umieściłam atypowych, którzy projektują na atypowych zaburzenia psychiczne, oraz „atypowych”, którzy je introjektują, czyli identyfikują się z tymi projekcjami...

W tym sensie, że atypowi czują się chorzy?

K.M.: Tak, bo jeżeli większość narzuca mniejszości pewne wyobrażenia, to pod wieloma względami ta mniejszość zaczyna czuć, że tak jest. To się nazywa w psychologii identyfikacja projekcyjna. Żeby odwołać się do codziennego doświadczenia: każdy z nas doświadczył takiego uczucia, że przy kimś nie czuje się sobą, czuje się kimś innym, coś odgrywa i nie potrafi się z tego wyzwolić. Gombrowicz opisywał to jako dorabianie gęby... O czym to ja mówiłam?

O mechanizmie projekcji.

K.M.: Jak już miałam ten wykres, to logiczne było, aby odwrócić te procesy. A metodą na to było pokazanie potencjału osób atypowych...

Tych ich supermocy.

K.M.: Tak. I kiedy natrafiłam na dane pokazujące, że w Dolinie Krzemowej to już zaczęło się dziać, że osoby w spektrum są doceniane i generują korzyści finansowe dla największych światowych korporacji, to stwierdziłam, że jest już pozamiatane.

Czyli?

K.M.: No, że jeśli są dowody – raporty, badania – potwierdzające, że np. osoby w spektrum generują oszczędności w sektorze IT...

M.T.: Bo na przykład popełniają mniej błędów...

K.M.: ...to nie może być lepszemu argumentu, który nasze społeczeństwa – przede wszystkim nastawione na generowanie zysków – do nich przekona. Dlatego też zaczęliśmy od studiów, które dotyczą właśnie potencjału atypowych w miejscu pracy.

Ale czy rewersem tego nie będzie to, że neurotypowi zaczną tracić miejsca pracy?

K.M.: Niekoniecznie.

Ale jak ktoś jest tańszy, a jest tańszy, bo jest bardziej wydajny, robi mniej błędów...

K.M.: Nie, taka osoba nie jest tańsza, ona jest lepiej dopasowana do danej pracy.

Cała idea polega na tym, że jesteśmy różni i że możemy się uzupełniać, a nie tylko ze sobą rywalizować – ty możesz mieć ADHD, jesteś wulkanem energii, a Michał jest bardzo uporządkowany i spokojny. Ty zajmiesz się jednym obszarem, a Michał drugim. Perspektywa neuro różnorodności wprowadza myślenie, że możemy mieć relacje oparte na wymianie, a nie konkurencji. Praktyka pokazuje, że to właśnie zespoły neuro różnorodne generują największe innowacje dla organizacji.

Ale jednocześnie, jak wcześniej mówił Michał, problem jest taki, że są ludzie, do których jeżeli nie napiszesz maila z wypunktowaniem, co mają zrobić, w jaki sposób, to nie będą reagować. Kto tu więc z kim ma się uzupełnić i w jaki sposób?

K.M.: I tego właśnie uczymy na naszych studiach.

M.T.: Wyobraź sobie, to jest zresztą prawdziwa historia, że mamy dwóch pracowników neuroatypowych, jednego z autyzmem, który produkuje bardzo rozbudowane, szczegółowe teksty i raportuje do osoby z ADHD, która dla odmiany lubi mieć wszystko krótko, zwięźle, w trzech punktach. I te osoby, pozostając w zgodzie ze sobą, były w stanie wypracować komfortowe warunki współpracy. A polega ona na tym, że ta osoba, która bardzo szczegółowo opisuje, bo ma taką potrzebę – ale wie, że szef ma inaczej – nad tym swoim elaboratem zamieszcza zwięźle trzy punkty. I wszyscy są zadowoleni: jedna osoba funkcjonuje tak, jak potrzebuje, i druga tak samo.

A kto ich tak dogadał?

M.T.: Po prostu się dotarli, ale to wymagało świadomości. Nie że ta druga osoba jest dziwna, tylko co najwyżej, że razem jesteście dziwni.

K.M.: To, czego dotyczą te nasze studia, było przeze mnie starannie wykalkulowane. Wiedziałam, że one muszą dotyczyć neuro różnorodności w miejscu pracy, bo to najszybciej zostanie załapane przez korporację. I to nie jest kolejny projekt charytatywny, gdzie my się pochylamy, laskawie pomagamy tym biednym, którzy nas potrzebują. To jest sytuacja, gdzie wszyscy odnosimy korzyści. A to pozwoli nam najszybciej zapoczątkować zmiany na poziomie systemowym.

M.T.: Absolwenci naszych studiów są w pewnym sensie ambasadorami tej idei.

K.M.: Również w praktyce.

M.T.: Włączając osoby neuroatypowe do zespołów, zarządzając nimi z sukcesem...

K.M.: Istota neuro różnorodności, i to może brzmieć jak truizm, w gruncie rzeczy sprowadza się do tego, żeby podchodzić z szacunkiem do drugiego człowieka. Tworzyć mu przestrzeń, w której będzie mógł się czuć bezpiecznie i korzystać ze swojego potencjału.

A co to znaczy bezpiecznie?

K.M.: Bez niepotrzebnego niepokoju, który bierze się chociażby z takich nagminnych zachowań jak przewracanie oczami, wcinanie się w momencie, w którym komuś na chwilę zawiesi się głos, krzywienie się, kiedy ktoś mówi niepewnie, udowadnianie na każdym kroku swojej wyższości.

M.T.: Bez oceniania, że ktoś na przykład nie konsumuje posiłków w pokoju z wszystkimi, tylko woli sam. I tak dalej.

Ile osób jak dotąd ukończyło wasze studia?

K.M.: Miejsc było 24, tyle też było chętnych i tyle osób je ukończyło.

I to będzie kontynuowane?

K.M.: Tak, od nowego roku akademickiego rusza kolejna edycja studiów, również w Krakowie. Jest tak wielu chętnych, że zastanawiamy się nad utworzeniem większej liczby grup, niż planowaliśmy. ●

OGŁOSZENIA



ORGANIZATORZY:

wysokieobcasy.pl

wyborcza.pl

PARTNERZY:

ROCKWOOL

BENEFIT SYSTEMS

Niech żyją bańki, czyli manifest zamkniętyzmu

Orliński



Zapewne spotkali się państwo z tezą, że „nie wolno się zamykać w swojej bańce”. Należy koniecznie utrzymywać jak najwięcej kontaktów z ludźmi mającymi inne poglądy niż my.

Czy widzieliście jednak kiedykolwiek przekonujące uzasadnienie tej tezy? No to zazdroszczę. Ja nie miałem tyle szczęścia.

Ja zawsze spotykam się tylko z apodyktycznym potępieniem bańek. Są niedobre i już!

Mam alergię na takie arbitralne zakazy. Przez pewien czas zaczynałem maile od „witam” po prostu dlatego, że Michał Rusinek, postać skądinąd przezacna i przesympatyczna, ogłosił, że tak nie wolno.

Dopóki więc nie znajdę solidnego argumentu przeciw – pozostanę zwolennikiem zamykania się w „bańkach”, czyli w kręgu osób o mniej więcej podobnych poglądach. Zwłaszcza w internecie. Bańki internetowe są naturalne i zdrowe!

Ktoś kiedyś podsumował moją postawę jako „zamkniętyzm”. Podobna mi się to słowo, jestem zamkniętystą i państwa też do tego namawiam.

Oczywiście, zależy mi na docieraniu ze swoimi wypowiedziami do jak najszerzego grona odbiorców. Da się to jednak połączyć z zamkniętyzmem.

Facebook od kilkunastu lat pozwala na taką konfigurację, żeby można było wypowiadać się publicznie – ale by komentować mogli tylko znajomi. Tych mam intencjonalnie niewielu.

Innych serwisów unikam, bo albo mają gorsze ustawienia prywatności, albo stawiają na przekazy obrazkowo-filmikowe. A ja najlepiej się czuję w świecie liter. To nimi najchętniej się porozumiewam ze światem (dlatego zawsze wolę dostać maila niż telefon albo nie daj Boże zaproszenie do wideokonferencji na Zoomie).

Już to zamyka mnie w pewnej bańce, bo zdaję sobie sprawę, że miałbym większe zasięgi, gdybym się udzielał na YouTube, Instagramie albo najlepiej na TikToku. Tylko że mam z tym tak samo jak z książkami, które piszę.

No pewnie, że sprzedałbym więcej egzemplarzy, gdybym zamiast o Koperniku czy Lemie napisał biografię Zenka Martyniuka, Dody Elektrody, a najlepiej Lewandowskiego. Tylko że jak większość literatów piszę o tym, o czym sam bym chciał przeczytać, co automatycznie zamyka mnie z moimi czytelnikami w bańce „osób o podobnych zainteresowaniach”.

Teoretycznie „podobne zainteresowania” nie muszą oznaczać „po-

dobnych poglądów”, ale w praktyce jednak tak. Na przykład ktoś, kto naprawdę interesuje się biologią, nie powie, że „biologia uczy, że są tylko dwie płcie”.

Takie rzeczy mówią tylko pravicowi publicyści cytujący innych pravicowych publicystów. Biolog powie, że sama płć biologiczna ma wiele rodzajów (genotypowy, fenotypowy, hormonalny, behawioralny...), i opiszę przypadki transpłciowości w świecie zwierząt.

Moje poglądy są wypadkową moich lektur. A tak to jakos bywa, że o ile w bibliotekach można spotkać dziennikarzy z mojej bańki (pozdrawiam Adama Leszczyńskiego i Witolda Mrozka!), w życiu nie widziałem tam, dajmy na to, Semki, Ziemkiewicza ani Warzechy.

Spotykałem ich za to na Czerskiej, bo był kiedyś taki okres, gdy praktycznie mieszkali w Radiu TOK FM, biduląc na antenie o tym, jacy to oni zaszczeni, wyklęci i skazani na zamilczenie przez liberalne media. Pomiędzy jednym występem a drugim wyskakiwali na kawę do agorowej kawiarenki, więc łatwo się było tam na nich nadziać.

Ani ja nie miałem ochoty na interakcje z nimi, ani oni na interakcje ze mną, więc po prostu udawaliśmy, że się nie poznajemy, szczęśliwi z zamknięcia w swoich bańkach. Ja w lewacko-książkowej, oni w prawacko-twitterowej.

Raz tylko było blisko katastrofy. Patrzę, a tu w kawiarence stoją Grzesiek Sroczyński i Tomasz Terlikowski. Właśnie skończyli kolejny wywiad do liberalnych mediów o tym, jak Terlikowskiego liberalne media nie dopuszczają do głosu.

Oczywiście, udaję, że nie rozpoznałem Terlikowskiego. A on – mnie. Na to Grzesiek: „Znacie się? Przedstawię was!”. W tym momencie pozostało nam już tylko jedno: udawać, że nie widzimy Grzeska. Co było tym trudniejsze, że staliśmy w trójkę przy kontuarze.

Na szczęście – i teraz po raz pierwszy i ostatni w życiu napiszę o Terlikowskim coś milego – był równie mało skłonny do „przebijania bańki” jak ja. Grzesiek wołał a to do niego, a to do mnie. Choć staliśmy tuż obok, udawaliśmy konsekwentnie, że go nie słyszymy.

W końcu Sroczyński dał za wygraną i odszedł gdzieś ze swoim rozmówcą. A ja ze swoją kawą udałem się w dokładnie przeciwnym kierunku.

Zalóżmy nawet, że udało mu się nas przedstawić – co by to dało? Gdy chcę poznać poglądy prawicowych publicystów, mogę przecież zajrzeć do lodówki. Gdy oni chcą poznać moje, też przecież mogą – choć nie jestem tak wszechobecny jak oni.

Jeśli mam z kimś rozmawiać – to z kimś, z kim mogę się podzielić np. wrażeniami z jakiejś lektury. To trochę jednak z automatu skreśla pravicowych publicystów, bo oni – mam wrażenie – nie czytają nawet siebie nawzajem.

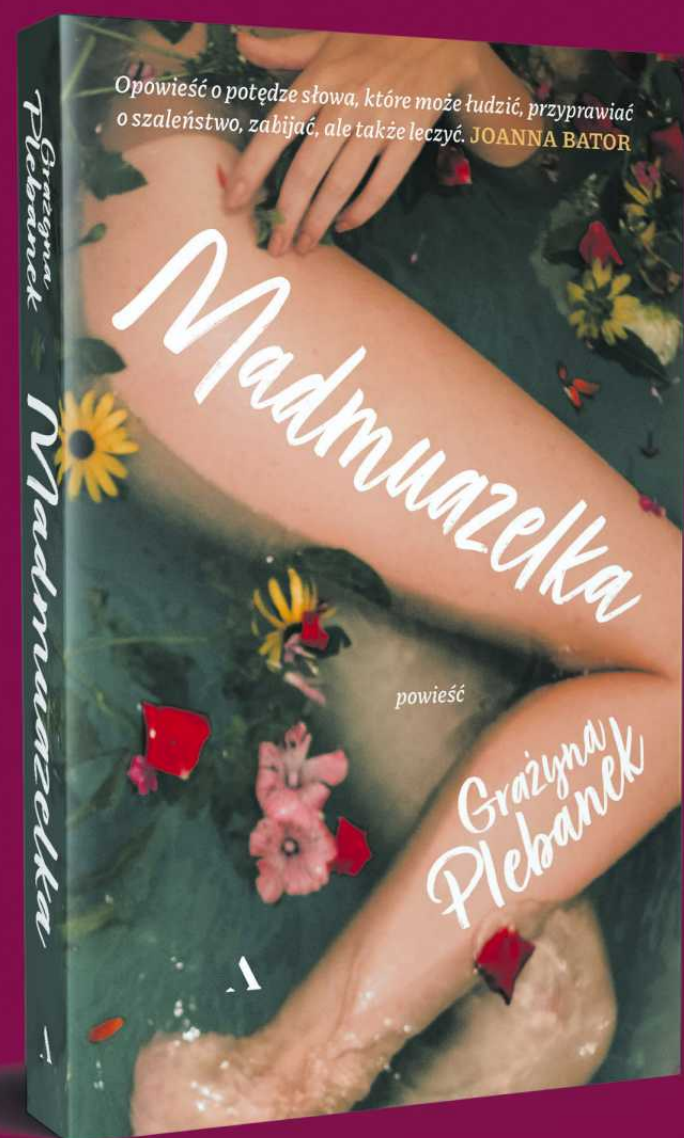
Tu ich zresztą akurat świetnie rozumiem. ●

Wojciech Orliński

OLŚNIEWAJĄCY
POWIEŚCIOWY POWRÓT

Grażyny Plebanek

Od pytania „kto zabił” ważniejsze bywa:
„Dlaczego wcześniej
nie zrobił tego ktoś inny?”



W „Madmuazelce” Grażyny Plebanek jest wszystko, co lubię: opowiedziana z wprawą i pasją mała historia zwyczajnych ludzi, przez których losy poznajemy także wielką historię Polski, Europy i świata.

Joanna Bator

„Madmuazelka” porusza kwestie związane z tożsamością, życiem między kulturami, ale jednocześnie jest bardzo wciągającą opowieścią z zagadką kryminalną w tle.

Justyna Sobolewska

J U Ź W S P R Z E D A Ź Y

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA  KULTURALNY SKLEP.PL
W FORMIE E-BOOKA / AUDIOBOOKA NA  publio.pl

 Wydawnictwo
Agora

Klaster felczer

Iwasiów



Wieści z dróg i z regionów Polski są niepokojące: gigantyczne korki opóźniają dostęp do plaż i smażalni.

Płoną samochody. Gangsterzy kręcą filmy, pewna partia zapowiada racjonalizację dostępu do broni. Owoce spadają z krzaków, a ich ceny w sklepach rosną. Sondaż się wahają. Kultura wydaje się w tej sytuacji... No tak, w kulturze również awantura za awanturą. Zła satyra, niewłaściwi sponsorzy, błędne wybory tematów powieści. Afirmacje i zadowolenie znaleźć można tylko w poradnikach dobrego życia.

Na festiwal Góry Literatury docieram bez przeszkód dzięki temu, że jadę w pewnym sensie pod prąd, bo choć Kotlina Klodzka piękną jest krainą, turyści nie okupują jej o tej porze roku. Nawet z okazji tego festiwalu, rozmachem niepodobnego do kameralnych imprez w bibliotekach. Choć spotykam w Nowej Rudzie i okolicach dziesiątki znajomych osób i setki przyjaznych, ulegając złudzeniu „jesteśmy tu wszyscy”, wiem, że stanowimy mniejszość wakacyjnego ruchu, małą Republikę Literatury. Bycie w niej wymaga pewnej fatygi, a zarazem jest luksusem. W moim przypadku fatyga bierze się z braku drogi dojazdowej do hotelu. Luksusem zaś jest dyskusja, na co dzień wypierana przez boje, odezwy i memy.

W dniu przyjazdu biorę udział w debacie o cancel culture i autocenzurze. Za każdym razem, gdy mam napisać „cancel culture”, sprawdzam, jak się to pisze. Mój mózg ma bowiem wątpliwości. Nie, nie uważam, iż zjawisko nie istnieje, ale też nie uznaję go za centralny problem społeczny, a tym bardziej za najważniejszą przeszkodę w moim funkcjonowaniu zawodowym. Włącza mi się lęk przed zrobieniem ośmieszającego, wykluczającego błędu, jak wówczas, gdy skolowana niezgodnością imienia i nazwiska

w indeksie z imieniem i nazwiskiem osoby studenckiej, którą uczyć piąty rok, kładę przed sobą kartkę z danymi. Czy boję się „scancelowania”, gdybym jednak wydała z siebie raniące tę osobę słowa? Ta mikrosцена – konkretne postacie, dookreślone środowisko, sprawowany nad nami nadzór – więcej mówi niż teoria, niż rzucone w przestrzeń medialną uwagi ogólne.

Nie lubię anglojęzycznej terminologii w debacie publicznej. Cancel culture brzmi jak klaster felczer lub cokolwiek i sugeruje obcość, istnienie jakiejś wyspy gdzieś daleko od nas, a może na Netflixie. Lud tej wyspy ma skomplikowane kodeksy karny i stosuje starożytnie tortury. Najgorszą jest publikacja w sieci zmultiplikowanego wyroku i wygnanie z grupy. Jak niegdyś gender, przejaw cywilizacji śmierci i potwór polujący na niewiasty i dziatki, teraz cc zaczyna być wykorzystywana do straszenia. Mówi się o niej jako narośli, produkcie zepsutej cywilizacji stosującej poprawnościowy terror. Uznaje za wzmocnioną formę rzekomo fatalnych zasad poprawności politycznej, której pierwotna nazwa angielska „political correctness” słabiej się przyjęła. Kto wie dlaczego? Z powodu trudniejszej wymowy? Dlatego że po polsku również znaczy coś innego, niż się sądzi? A terminy straszaki są tym lepsze, im mniej zrozumiałe. W ich skorupę wkładamy najbardziej drastyczne lub skandaliczne przykłady, by zdyscyplinować kogoś, jakąś grupę. Przy okazji neutralizujemy realne zjawiska, bo kto by tam wierzył w istnienie ludu wyspy ze skomplikowanym kodeksem dopuszczającym tortury? W codzienności dostarczającej nam przerażających paragonów przy każdym drobnym zakupach plemię wyznające cc wpada między bajki.

Gdy boję się przeczytać na głos ze strony uczelni odrzuconą formę czyjejs tożsamości, nie myślę, że przyjdzie poprawnościowa policja i nazwie mnie terfką jak J.K. Rowling za wypowiedzi w sprawie używania określenia „osoby z macicami”. Myślę w drugą stronę – o innej policji, czyli wszechobecnej „normie”, którą prawodawcy uznają też za wszechweczną. O urzędowych ramach każdej egzystencji. Niezbędnych, by kleić społeczności, ale jakże często niewystarczająco elastycznych, by czuć się w ich granicach bezpiecznie. Krótko

mówiąc – gdy rzecz dotyczy moich relacji z konkretnym człowiekiem, nie potrzebuję żadnego dozoru i nie boję się niczyjej oceny. Zwykle mamy, ja i ta osoba, przeciw sobie system. Wspomniany e-indeks, wzór dyplomu, kogoś, kto musi koniecznie wypowiedzieć swoje szowinistyczne uwagi. Kogoś uzbrojonego w słusność. Przeciw tej słusności, bezwzględnej, pozbawionej empatii postawie, walczę dostępnymi mi metodami. Właściwie mogłabym po prostu stwierdzić, że zawsze warto uwzględnić głos słabszy, należący do jednostki, która musi przekonać, pokonać system.

Czymże jest system? Moim zdaniem każdy system nosi, nienazwane tak, cechy cancel culture. Każdy jest obwarowany zasadami poprawności politycznej, tyle że już niemal niewi-

LGBTQ+, gdy domagają się dla siebie praw, w tym wyboru imienia i zaimka. Sporo podczas zajęć przegadujemy, najczęściej komplikując interpretację tekstów i zjawisk, nie zaś notując pewniki.

Choć nie stwierdzam u siebie skutków działania autocenzury, oczywiście jednak boję się wykluczenia z tych grup, na których najbardziej mi zależy. Prawdopodobnie anatema nałożona przez swoich załamałaby mnie, podczas gdy hejt ze strony obrońców rzekomo uniwersalnych zasad zaledwie boli i osłabia. Nie wiedziałabym, dokąd pójść, gdyby mnie wygnali bliscy. Potencjalnie więc jestem kimś, kto mógłby zacząć milczeć ze strachu. Milczący ze strachu dołączają do agresorów i obojętnych. Przeważają szalę na stronę przeciwników wszelkich

Za każdym razem, gdy mam napisać „cancel culture”, sprawdzam, jak się to pisze. Mój mózg ma bowiem wątpliwości. Nie, nie uważam, iż zjawisko nie istnieje, ale też nie uznaję go za centralny problem społeczny, a tym bardziej za najważniejszą przeszkodę w moim funkcjonowaniu zawodowym

docznymi, neutralnymi w odczuciu większości, bo trwającymi od długiego czasu. Zwiemy je normami. Normatywizm niszczy skuteczniej niż cc właściwa naszym czasom, kolportująca za pomocą mediów społecznościowych wyroki przeciw osobom z własnych środowisk. Wykluczający charakter tej szerszej, dozorującej nas kultury rozpoznajemy ze specjalnych okazji – gdy na jaw wychodzą drastyczne przypadki mobbingu, niesprawiedliwości, przemocy i prześladowania.

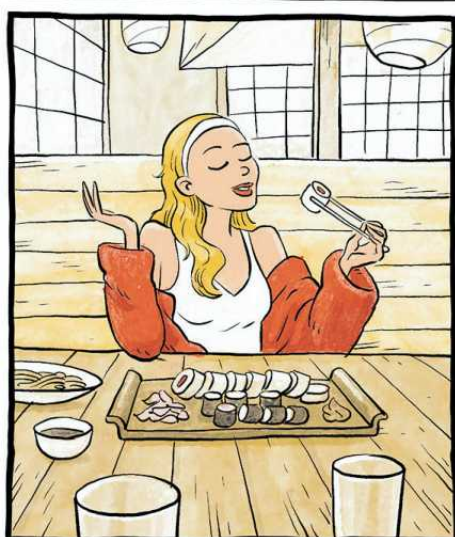
Przywoływany tu, konkretny człowiek niekoniecznie ma „prawidłowe” poglądy na wszystko. Doprawdy, nie istnieje zestaw przekonań automatycznie uaktywnianych u osób

zmian, pomagają utrzymać status quo, sieć zależności, których przerwanie byłoby wybawieniem, a przynajmniej dałoby nadzieję. Może więc trzeba dyskutować, jak bywało w czasach wprowadzania nowych idei, na przykład studiów o gender, tożsamości kulturowej? We wrogim świecie rozmowa jest trudna albo niemożliwa. Betonowa retoryka oponentów często ją zamyka, zamiast otwierać. Bez szerokiej dyskusji to, co nas zajmuje jako cancel culture, w uszach większości brzmi klaster felczer i wywołuje wzruszenie ramion. Tego wzruszenia ramion się boję i to jego groźba wywołuje u mnie autocenzurę. ●

Inga Iwasiów

POLSKA MISTRZEM POLSKI

TOMASZ LEŚNIAK & RAFAŁ SKARŻYCKI

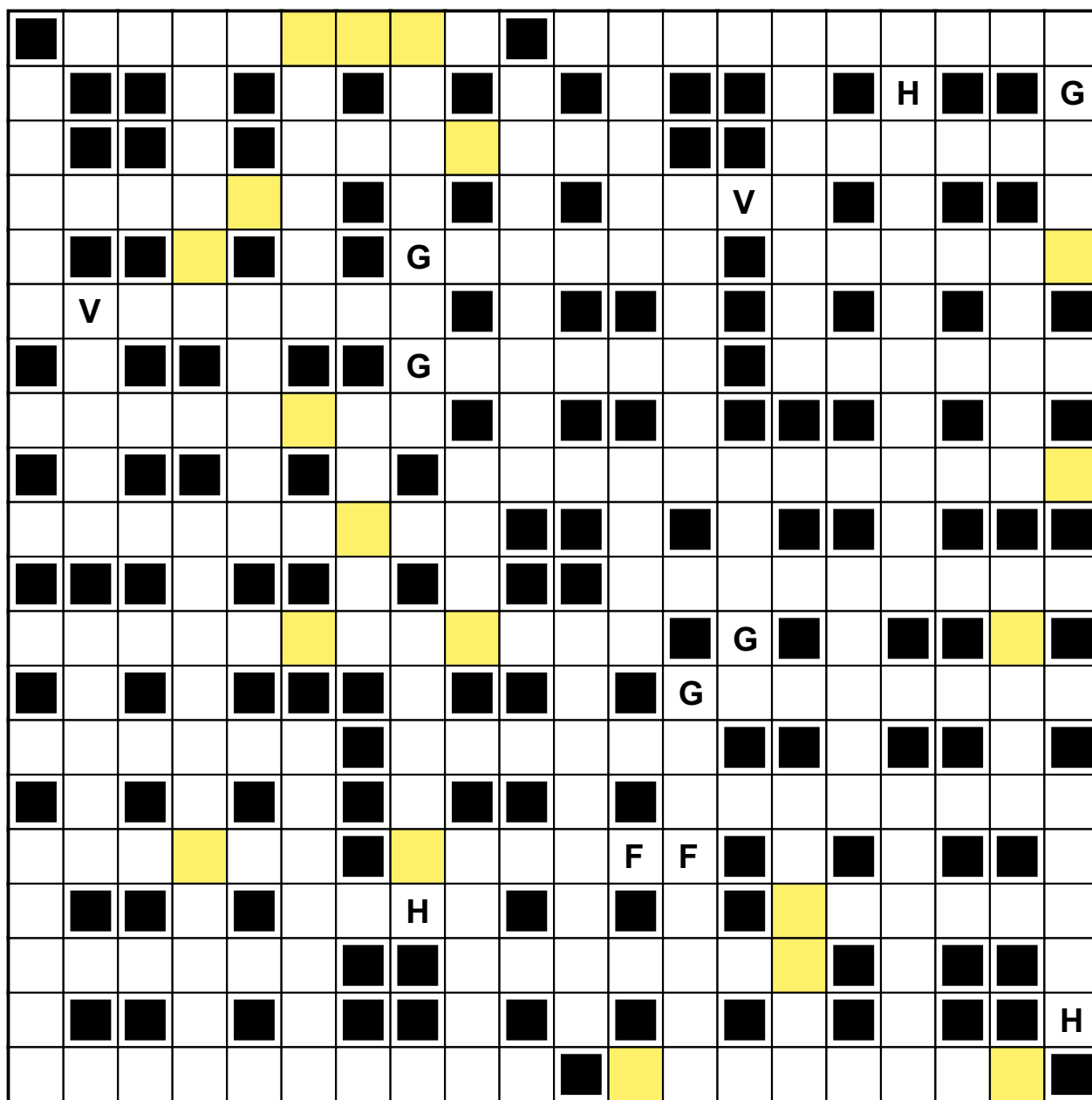


jolka

60

Objaśnienia podane są w kolejności alfabetycznej. W diagramie ujawniono wszystkie litery F, G, H, V. Miejsce wpisywania wyrazów – do odgadnięcia. Litery w kolorowych polach, odczytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- Antoni z powieści „Znachor”
- bakterie trądu, gruźlicy
- baskijski – to tamburyn
- bęben odpowiadający na pytanie: gdzie-gdzie?
- białe ..., stop z domieszką platyny albo niklu
- dwukółka dla Juliusza Cezara
- film grozy z Nicole Kidman w roli głównej
- Giuseppe, kompozytor opery „Rigoletto”
- imię autorki książek, w których pojawiają się Paszczak, Buka, Włóczykij
- imię Szostakowicza, rosyjskiego kompozytora
- ... jerychońskie, zwane także zmartwychwstankami
- Joanna Bator nazwała ją Wyspą Łzą
- Johan (zm. 2016), utytułowany holenderski piłkarz i trener
- kazuary lub pingwiny
- ... Kravitz, amerykański piosenkarz i muzyk
- krzywa – symbol nieskończoności
- leniwy kocur z komiksów, smakosz lazanii
- „Londyn, Warszawa, Paryż czy Dakar – bo ... jest językiem wszechświata”
- materiał na Wenus z Milo, Nike z Samotraki
- ... McKwacz, bogacz z filmów animowanych Disneya
- miasto nad Stobrawą (woj. opolskie)
- mieszkanka miasta z placem Piccadilly Circus
- mięsień dwugłowy ramienia
- najmniejszy pod względem powierzchni stan USA
- najsłynniejsza pieśń Gounoda do preludium Bacha
- naprawdę nazywa się Stefani Joanne Angelina Germanotta
- nazwisko autorki wiersza „Gawęda o miłości ziemi ojczystej”



- nudyzm
- ozdoby kojarzące się z Beatą Szydło
- pająki z żarówkami
- Patrick, francuski pisarz, laureat Literackiej Nagrody Nobla w 2014 r.
- podhalańska gospodyni
- podwójny ..., prowadzi niebezpieczną grę wywiadowczą
- poeta typu filareta
- potargane, rozczochrane włosy
- potocznie o niezbyt rozgarniętym osobniku
- ptaki, które czczono w starożytnym Egipcie
- R2D2 z „Gwiezdných wojen”
- rurka łącząca ustnik fajki z główką
- są i wyskokowe
- stolica Czadu
- stołeczna twierdza zbudowana po upadku powstania listopadowego
- sygnał zakończenia polowania odegrany na trąbce albo rogu

- szefowa spółki handlowej albo dyrektorka firmy ubezpieczeniowej
- szydlerczy, ironiczny, niezadowolony... (może malować się na twarzy)
- śpiewa „Solo”
- śpiewa: „Kiedyś różą byłam, lecz nie jestem teraz”
- w stylu klasycznym lub wolnym
- „W takie wieczory ty wracasz jak ...”, w piosence Janusza Laskowskiego
- „wandalę” do dyspozycji admirała
- wiązanki
- Wielka – w trzeciej części „Dziadów”
- wielkoszlemowy turniej rozgrywany w Anglii od 1877 r.
- więcej niż bieda
- z niechęcią o kimś starym, zniedołężniałym
- zająca ... (rozszczep)
- ... zapasowa dysku (warto się zabezpieczyć)
- zespół, który nagrał piosenkę „Skóra”

Rozwiązanie z poprzedniego numeru: Orkiestra symfoniczna.

Rzędami: pomidor, furmanka, ustrój, William, anioł, Anzelm, Piast, ptaszek, igła, sewilczyk, Atlas, Palermo, Aldona, ziarno, podfruwajka, Pet Shop Boys, rzęchy, dopływ, zacisze, cover, Lubomierz, efeb, Romuald, bagno, rybacy, walec, arachid, Akteon, Canberra, tranzyt.

Kolumnami: szopy, otiatra, drukarka, taktwo, dziczka, Łemkowie, sposoby, rumaki, wrestler, Gollob, strzał, oszczerca, atrapy, osocze, James Bond, frazes, flesze, ulicówka, Bryant, Lautrec, małopuód, odmiana, najście, Krystyna, rolnicy, Paryż.

Miej oko na jolkę

W aplikacji **KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ** znajdziesz więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych. **Pobierz za darmo**



KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z **App Store**

POBIERZ Z **Google Play**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34182171

Redaktor prowadzący: Ariadna Machowska. **Zespół:** Ludmiła Anannikova, Katarzyna Bielas, Zuzanna Bukłaha, Mariusz Burchart (red. naczelny), Piotr Głuchowski, Jacek Hugo-Bader, Włodzimierz Kalicki, Tomasz Kwaśniewski, Paweł P. Reszka, Katarzyna Surmiak-Domańska, Mariusz Szczygieł, Aleksandra Szyfko, Katarzyna Włodkowska, Marcin Wójcik, Aleksandra Zbroja, Anna Żebrowska. **Piszą dla nas:** Katarzyna Brejwo, Maciej Czarniecki, Magdalena Grzebałkowska, Urszula Jabłońska, Bartosz Józefiak, Ewa Kaleta, Anna Kiedrzynek, Michał Kokot, Oktawia Kromer, Damian Maliszewski, Iza Michalewicz, Wojciech Orliński, Ewa Pagowska, Renata Radłowska, Agnieszka Rodowicz, Joanna Strzałko, Violetta Szostak, Grzegorz Szymanik, Ewa Winnicka, Mirosław Wlekły, Ewa Wołkanowska-Kotodziej. **Grafik:** Dariusz Filipek. **Projekt magazynu:** Jacek Utko. **Fotoedytor:** Rafał Wojciechowski. **Korekta:** Anna Książkowska. **Adres redakcji:** ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa. tel. 22 555 46 37. **e-mail:** duzyformat@wyborcza.pl. **Internet:** wyborcza.pl/duzyformat, instagram.com/duzyformat, https://www.facebook.com/TygodnikDuzyFormat, tiktok.com/@duzyformat **Dział reklamy:** tel. 22 555 55 55. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich skracania i redagowania.